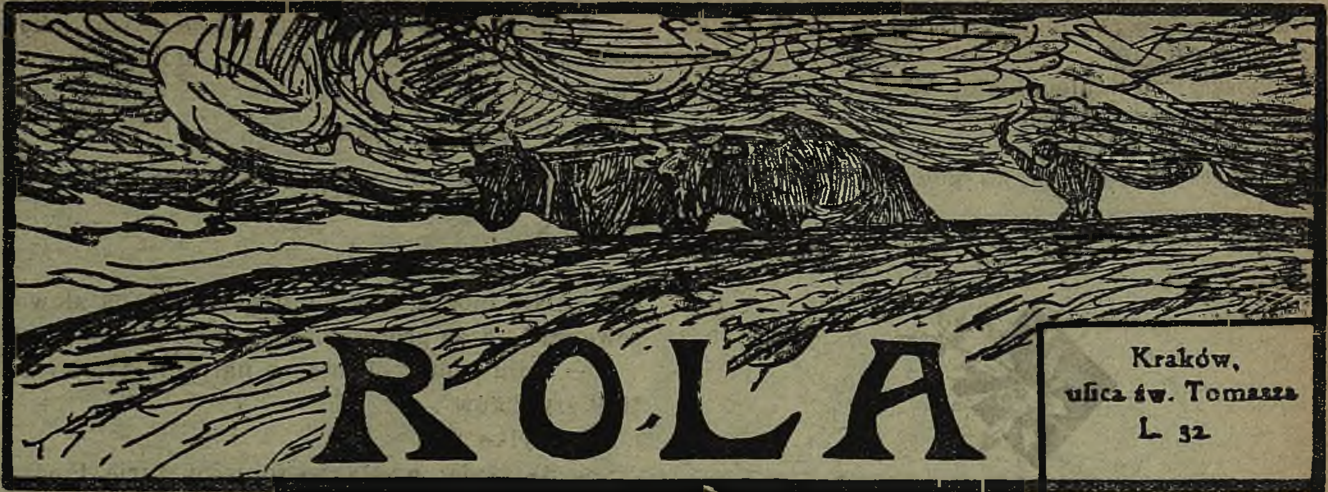
Numer 19. Nal. pozt. opł. ryczałtem. **Dnia 11 Maja 1930**



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Wymowny niemowa.

Na probostwo przychodzi Maciek i kłania się do kolan jegomości.

Proboszcz: Słyszałem chłopcze, że ty chciałbyś się żenić?

Maciek oblizuje się...

Proboszcz: Kiedy tak, to powiedz, czy umiesz pacierz?

Maciek skrobie się w głowę...



Zrozumiał.

Król Jan Sobieski ubierał się w domu bardzo skromnie. Pewnego razu przybył do niego z jakąś prośbą szlachcic, co się nazywał Gomuła. Pan Gomuła wystroił się do króla w sajetowy żupan, atłasowy kontusz i drogocenny pas świąteczny, do którego była przyczepiona karabela, w jaszczur oprawna, z bogatą rękojeścią. Gdy król, dla braci szlachty zawsze bardzo uprzejmy i serdeczny, z panem Gomułą rozmawiał, wprowadzono przez podwoje gabinetu jednego z posłów zagranicznych, który króla Sobieskiego jeszcze nigdy nie widział. Ten, sądząc po okazałości stroju, wziął Gomułę za króla i — zwróciwszy się do niego z niskim ukłonem — rozpoczął przemowę swą w języku francuskim słowem „Sire!“ Szlachcic, który francuskiego języka nie rozumiał, zauważył pomyłkę i rzekł, wskazując na króla: „To jest Ser, a ja jestem Gomuła“.

Dobry sposób.

Pewien Anglik ma kłopot z pewnym Szkotem: pożyczył mu 200 szylingów i nie może doczekać się zwrotu.

— Pisałeś do niego?

— Tak.

— I co odpowiedział?

— Nic.

— Zaskarż go.

— Nie mogę: dałem mu pieniądze na słowo bez rewersu — a do procesu muszę mieć pisemny dowód.

— Napisz mu: „Proszę o natychmiastowy zwrot 1000 szylingów“.

— Tylko 200.

— Właśnie; wtedy wpadnie w furję i odpisze: „Jak pan może żądać 1000, kiedy pożyczyłem tylko 200?“ I będziesz miał dowód w ręku.



Z szacunkiem.

W szkółce wiejskiej nauczyciel poucza dzieci, aby do przełożonego odzywały się w odpowiedni sposób, z szacunkiem, a nie per ty, jak to zwykle czynią.

Wnet potem przyjeżdża na wizytację inspektor. Jest lekcja religji a inspektor pyta Maciusia, jakie jest siódme przykazanie Boże.

— Panie inspektorze, nie kradnij! — odpowiada Maciuś, pamiętając, jak trzeba mówić.

Numer 19. Rok XIII. Kraków, dnia 11 maja 1930.

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1930: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy. Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli«: Kraków, ulica św. Tomasza 32.

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek 500.868.

Pierwszy święty męczennik polski.

Mają inne narody u stóp tronu Bożego swych wielkich mężów, aby za niemi orędowali u Stwórcy, ma ich również i Polska. W gronie świętych znajdują się tam i nasi rodacy, jak św. Jan Kanty, św. Kazimierz, św. Jacek i inni, a między nimi najpierwszy nasz święty męczennik św. Stanisław Szczepanowski. Św. Stanisław to pierwszy polski święty, zrodzony na ziemi polskiej, kość z kości naszej, krew z krwi naszej. Już samo imię jego tak pięknie Skarga tłomaczy. Kiedy — mówi — Wielisławowi Szczepanowskiemu urodził się syn, nadał mu, wraz z żoną Bogną, na chrzcie św. imię Stanisława, jakoby mówili: „Stań się sława z niego Bogu".

I stała się rzeczywiście sława Bogu i narodowi polskiemu. Święty Stanisław rósł w cnotach i świątobliwości. W roku 1072 obrany biskupem krakowskim rządził jako pasterz dobry i sprawiedliwy. Opieką otaczał sieroty i wdowy. Dom jego był domem ubogich i potrzebujących.

Panował wówczas w Polsce Bolesław Śmiały. Był to król dzielny i rycerski, dbały o rozszerzenie granic ojczystych, wsławiony męstwem i zwycięstwami, ukochany przez lud wieśniaczy, dla którego był hojny i łaskawy. Niestety, ten król tak śmiały i ozdobiony cnotami posiadał charakter gwałtowny i w gniewie był nieubłagany.

Napominał często króla święty Stanisław, czem wzniecił gniew przeciw sobie. Namówił więc król dwóch siostrzeńców zmarłego Piotrowina, aby świadczyli przeciw biskupowi i żądali pieniędzy za wieś, nabytą niegdyś przez biskupa, a rzekomo niezapłaconą. Stawił się święty Stanisław przed sądem królewskim w Solcu i powiedział, że zmarłego Piotrowina postawi jako świadka, że mu należytość uiścił.

Śmiał się król i wszyscy przytomni, ale św. Stanisław po trzech dniach gorącej modlitwy wskrzesił zmarłego Piotrowina, który przed królem potwierdził prawdziwość twierdzenia biskupa.

To wzmogło jescze bardziej gniew królewski przeciw świętemu mężowi, ale narazie Bolesław nie wywarł swej zemsty na nim, gdyż wyruszył na zwycięską wojnę na Rusi. Kiedy jednak doszły go wieści, że tworzą się przeciw niemu w Polsce spiski, powrócił do kraju i surowo spiskowców ukarał. Dopuszczał się jednak przytem takich okrucieństw i oddawał się życiu tak rozwiązłemu, że św. Stanisław wystąpił przeciw królowi i napominał go surowo, a gdy król nie usłuchał, rzucił na niego klątwę.

Uniesiony gniewem król postanowił zabić biskupa. Dnia 11 kwietnia 1079 r. wpadł na Skałkę, otoczył kościół żołnierzami i wtargnął zbrojno do wnętrza świątyni. A gdy żołnierze na widok biskupa, odprawiającego właśnie Mszę św., cofnęli się w przerażeniu, sam król go zabił u stóp ołtarza. Żołnierze wywlekli ciało świętego na dziedziniec i porąbali w kawałki. Ale ciało, strzeżone przez cztery orły, po trzech dniach złożone do trumny zrosło się cudownie. Brakło tylko jednego palca u ręki, który połknęła ryba w pobliskiej sadzawce. Ale i ten palec odnaleziono cudownie, bo oto nad tą rybą zajaśniała dziwna światłość; złowiono więc ją i w wnętrzu odnaleziono zgubę.

Zwłoki św. Męczennika pochowano na Skałce, zaś w roku 1088 przeniesiono je na Wawel. Pomimo licznych cudów, jakie działy się przy trumnie św. Stanisława, wielki ten Męczennik został zaliczony w poczet świętych dopiero przez papieża Innocentego IV w roku 1253. W Polsce biskup Prandota naznaczył dzień 8 maja na uroczystość św. Stanisława.

MAURYCY JOKAY.

W tajemniczej ziemi złota

Powieść tłómaczona z węgierskiego przez K. Górskiego.

Po chwili Rjumin znalazł się w tem miejscu, gdzie niedawno spotkał obietniczkę sfanatyzowanych sekciarzy. Tu też znalazł swojego przyjaciela. Ale w jakim ten się znajdował stanie! Leżał w trawie wśród ruiny, gdzie stał też jego koń. Odrazu można było zauważyć, że Osjetyniec jest ciężko chory, nie mógł wstać, ba nawet ruszyć się z miejsca. Tylko ciało jego ciągle drżało. Ręce i nogi nie miały już sił, całe ciało przybrało kolor zielonawy, drżał i rzucał sobą, jakgdyby zachorował na padaczkę. Oczy jego przybrały dziwny żółtawy połysk, zsiniałe wargi rozwarły się.

Rjumin z przerażeniem spoglądał na swojego towarzysza.

— Dla Boga, co ci się stało, co tu robisz?

— Czy nie widzisz? Umieram — odrzekł Osjetyniec.

— Co to za choroba? — pytał się dalej Rjumin.

— Nie musisz się o to pytać! Słyszysz ten koncert żabi?

Rzeczywiście znajdowało się tu kilka niebieskozielonych żab, usadowiły się one na wilgotnych kamieniach i kwakały przeraźliwie:

— Nolim, ilim, ilim, chwa!

Skoro przestała jedna, zaraz zaczynała druga.

— Masz febrę? — pytał się jeszcze raz Rjumin Osjetyńca i ukląkł nad nim.

Chory z natężeniem dawał ręką znaki, aby Rjumin nie przybliżał się tak do niego.

— Nie troszcz się o mnie— rzekł — bo i ty zachorujesz na frebrę, jest to choroba bardzo zaraźliwa.

— Powiedz mi, jak cię ratować?

Osjetyniec westchnął głęboko.

— Wyryj grób i połóż mnie do niego, jak przystoi, — powiedział po chwili.

— O nie, mój bracie, — odpowiedział Rjumin — ty nie umrzesz, bo cię potrzebuję. Cobym sobie począł bez ciebie w tej strasznej ziemi. Za każdą cenę musisz być zdrowy. Nie trać nadziei i chęci do życia, a z pewnością prędko wyzdrowiejesz. Ja sam będę się tobą opiekował.

Osjetyniec zaprzeczył głową.

— Ta żaba lepiej to wie od nas obu, drogi bracie! Nie troszcz się o mnie, bo ja już nie należę do żyjących. Żaden czarodziej nie potrafiłby uwolnić mnie od frebry! Gdybyś wiedział, jaki ogień pożera me wnętrzności! Pragnę już nawet chłodnego grobu. Oddałbyś mi wielką usługę, gdybyś strzałem z pistoletu ukrócił moje męczarnie. Wiem niestety, że tego nie zrobisz! Ach, jaki ból, jaka męka!

— Nie mogę ci rzeczywiście pomóc? — wyrzucił z siebie Rjumin.

—Nie możesz — odrzekł Osjetyniec. — Widziałem, jak na febrę umierało tysiące ludzi. Corocznie porywa niezliczone ofiary ta przeklęta kaukaska choroba. Wszystko jedno, czy Rosjanin, czy tubylec, każdy staje się jej ofiarą. Na dziesięciu chorych, jeden wyzdrowieje, a ten na całe życie staje się kaleką. Błagam cię o jedną rzecz: pogrzeb mnie ze wszystkim, co mam na sobie, a na prawo ode mnie połóż w grobie mój miecz!

To były ostatnie słowa chorego, które wypowiedział z ogromnym wysiłkiem. Łatwo można było zauważyć, że choroba sięga punktu kulminacyjnego. Twarz jego, dotąd zielona, poczęła przybierać czarny kolor, a usta w straszliwy sposób się wykrzywiły. Jeszcze chciał coś powiedzieć, ale słowa przemieniały się w niezrozumiały charkot.

Teraz Rjumin zrozumiał, że traci swojego przyjaciela. Przybliżył się do niego, ale zaraz odskoczył, bo Osjetyniec dręczony ogromnemi boleściami, zaczął sobą rzucać. Krzyczał, wył, śpiewał! Trwało to prawie ze pół godziny.

Nagle się uspokoił i zdawało się, że wracają mu siły. Przyszedł znów do przytomności, bo wstał, przeciągnął się i zaczął biec, ale zaraz przewrócił się o kamień.

Padając, rozłożył obie ręce i tak leżał. Znów opuściły go siły, bo nie mógł już powstać, chociaż usiłował to zrobić.

Rjumin podszedł ku niemu.

Umierający miał zupełną przytomność umysłu, poznał swego towarzysza, bo nawet zawołał go po imieniu:

— Rjuminie, uważaj! Wąsaty pan, pantera, krótko przedtem zawlókł ciało biednej obietniczki do swej nory. Ta nędzna zdobycz nie potrafi zaspokoić głodu na dłuższy czas, nie ociągaj się więc długo, uciekaj stąd.

Poznał więc Rjumin, że Osjetyniec odzyskał pełną świadomość, miał więc znowu trochę nadziei ratunku. Ukląkł więc i chciał odsunąć kamień, leżący prawie koło jego głowy, ale chory odtrącił go od siebie.

— Skoro wrócisz do generała Weljaminowa, powiedz mu, aby strzegł się przed wielką i niszczącą powodzią, skoro wyschnie rzeka Szemesz.

Po wypowiedzeniu tych słów, Osjetyniec ukrył swą twarz w wysokiej trawie. Nim zaś Rjumin zdołał się zapytać o ich znaczeniu, już nie żył. Biedak skończył swoje cierpienia.

Całą noc Rjumin kopał grób dla swego towarzysza. Była to dla niego smutna robota. Co teraz pocznie sobie sam w ziemi zupełnie mu nieznanej, nie mając wiernego przewodnika? Jak chętnie położyłby się do grobu obok Osjetyńca. Ale nie wolno mu dać się opanować przez takie myśli. Przecież miał towarzyszkę, również tak opuszczoną, jak i on, którą los mu narzucił. Miał Ismenę, która przygotowała się już na nowe życie, a teraz pomagała mu w różny sposób przy kopaniu grobu.

Rjumin zupełnie wypełniał ostatnie życzenia Osjetyńca.

Wszystkie rzeczy i ubranie włożył z nim do grobu; pozostawił mu nawet mundur rosyjskiego pułkownika. Skoro wrzucił pierwszą garść ziemi do grobu, żal mu było jasnej gwiazdy orderu, zdobiącej mundur, gwiazdy otrzymanej za bohaterskie czyny w walce.

Wskoczył więc do grobu i odpiął martwemu gwiazdę, ukrył na piersiach, jako resztki byłej sławy. Uspokojony, zasypał grób, zrobił z gliny czworobok, a na jego rogach ułożył cztery wielkie kamienie.

Ismena sama przywlekła je z ruiny i pomagała ustawiać koło grobu. Na wschodzie zaczęło się niebo rumienić, gdy skończył tę robotę.

Rjumin był tak słaby, opanowywała go taka senność, że ledwo trzymał się na nogach.

Nieprzespana noc i zdenerwowanie, jakie opanowało Rjumina w kościele sekciarzy, ogromnie go zmęczyły, nie mógł się już obronić przed snem. Wyszukał sobie odpowiednie miejsce, położył się w tra-

wie i zamknął oczy. Ani się spostrzegł, kiedy twardo usnął. Tak był zmęczony, że nawet nie dbał o to, co stanie się z dziewczęciem podczas tego, kiedy on będzie spał.

Kiedy się przebudził, bolały go wszystkie członki. Chciał wstać, ale głowę, ręce i nogi miał ciężkie, jak z ołowiu. Nie mógł się nawet poruszyć. W gardle go paliło, oczy bolały i paliły, a równocześnie cierpiał od zimna. Ręce i nogi drżały. Koło niego skakały żaby, a ciągle skrzeczały swoje: „Ilil, ilim, chwa".

Ismena siadła u jego nóg i odpędzała gałązką dokuczliwe muchy, siadające mu na twarzy.

— Strasznie mi jest zimno — skarżył się Rjumin. — Drżę cały, jakgdybym się bał jakiejś choroby.

A rzeczywiście trzeba się było obawiać. Ismena żałośnie spoglądała na twarz Rjumina, która zdradzała wyraźnie ślady opanowującej go febry.

Nagle podniosła się, nazbierała suchego drzewa i ułożyła je koło Rjumina w cztery kupki. Potem w torbie Rjumina wyszukała krzesiwo i roznieciła ogień. Zapaliła wszystkie cztery kupki, zdawało się, że Rjumin leży wśród ognia. Dym z suchego drzewa odpędzał dokuczliwe owady.

Rjumin wiedział dobrze, co się z nim dzieje: zachorował na kaukaską febrę. Ta sama straszna choroba go opanowała, która powaliła silnego Osjetyńca, przyzwyczajonego do tutejszego klimatu i wtrąciła go w jednym dniu do grobu.

Co się z nim dopiero stanie, z nim obcym. Ledwo wyprawił się w podróż, a już śmierć wyciąga po niego ręce. Jeszcze nie poznał najgroźniejszego wroga, pana tej ziemi, a już ginie od jej trującego tchu. Co może bowiem zrobić dla niego to słabe dziewczę; to biedactwo nie potrafi mu pomóc.

A jednak Rjumin pomylił się w ocenie dziewczęcia. Ismena doskonale zrozumiała niebezpieczeństwo sytuacji, w której znalazł się jej obrońca. Położyła rękę na jego czole i badawczo spojrzała mu w oczy. Potem wstała, nie mówiąc ani słowa, wzięła strzelbę Rjumina, która stała niedaleko oparta o skałę, małą siekierę i zniknęła w pobliskich krzakach.

Rjumin bacznie ją obserwował.

— Ach, opuszcza mnie! — powiedział sobie. — Poznała, że zachorowałem na chorobę zaraźliwą i dlatego uciekła. Wzięła sobie nawet moją strzelbę i toporek. Szczęśliwej drogi!

A jednak uważał na każdy szelest, bo miał nadzieję, że może dziewczę wróci jeszcze. Jakiś głos wewnętrzny mówił mu, że jest niemożliwe, aby go dziewczę rzeczywiście opuściło.

Choremu, którym trzęsła febra, każda minuta zdawała się być wiecznością.

Nagle usłyszał w krzakach szelest i ciężkie kroki łamały nawet gałęzie. Kroki te ciągle się zbliżały i zdawało się, że dopiero torują sobie drogę przez gęste krzaki.

Jakoż pokazała się głowa. Była to pantera. Nadstawiała uszy i oblizywała się czerwonym językiem, jakgdyby już zgóry delektowała się dobrą zdobyczą. Wyszła zupełnie z krzaków i gwałtownie biła się ogonem w boki. Gotowała się do skoku.

Fantazja chorego przedstawiała sobie straszliwy obraz. Rjumin widział zamiast pantery olbrzymiego tygrysa, jakiegoś przedpotopowego potwora. Bestja nie ważyła się zbliżyć do niego, tylko bojaźliwie krążyła zdala, a chwilami wydawała z siebie przytłumiony pomruk, była głodna.

Straszliwy ten pomruk wzbudzał w chorym strach; zdawało mu się, że słyszy wycie całego stada lwów. Za pasem miał dwa nabite pistolety. Przypomniał sobie o nich i chciał je wydobyć, aby strzelać do bestji. Pistolet nie wypalił, dlatego krzyknął, naśladując strzał — „bum!" Nie zdawał sobie z tego sprawy, czy to rzeczywistość, czy też wytwór chorobliwej fantazji.

Nie mógł poruszyć prawą ręką, pistolet nie wypalił, a pantera nie chciała od niego odejść. Potem uprzytomnił sobie, że tak długo jest bezpieczny, jak długo pali się koło niego ogień. Ale skoro drzewo się spali, będzie koniec i z nim.

Nagle usłyszał strzał, zagrzmiał on tuż w jego bliskości, a pantera, stojąca naprzeciw niego, podskoczyła w górę, potem padła na ziemię, drąc ją swemi strasznemi pazurami.

Rjumin nie wierzył swoim oczom, myślał nawet, że śni dzięki swej chorobie, która opanowała jego ciało i duszę.

Wnet jednak wypadło z gęstwiny dziewczę, które przed chwilą odeszło. Ale Rjuminowi zdawało się, że to jest inne dziewczę. Na twarzy dziewczęcia malowała się złość, a daremnie szukałbyś na niej owej delikatności i pokory, które ją przedtem cechowały.

Włosy jej oplątały gałązki dzikiej winnej macicy, czerwoną materją, otrzymaną w kościele od Rjumina, okryła ciało, zawiązała ją koło pasa i podkasała tak, że miała nogi odsłonięte po kolana.

Rzuciła się teraz na panterę, którą zastrzeliła ze strzelby Rjumina i kolbą rozbiła jej łeb, siekierą znów odcięła jej ogon, i owinęła go sobie w pasie.

Rjumin ze zdziwieniem spoglądał na dziewczę. Ismena zupełnie nie zważała na to, że materja niedostatecznie okrywa jej ciało, a do tego w jednym końcu materji trzymała dużo rozlicznego ziela.

Dziewczę uklękło koło Rjumina i bez ceremonji rozpięło mu na piersiach ubranie, kładąc mu na nie i na żołądek roztarte między dwoma kamieniami zioła. Chory poczuł nagle pod ziołami ogromne palenie i swędzenie. Całe ciało wogóle obłożyła wielkiemi, soczystemi liśćmi, owijając je również koło głowy i przymocowując je do niej barwinkiem.

Wreszcie rozmiażdżyła w ustach jakąś specjalną roślinę i miazgę tę zieloną dała choremu do ust.

Rjumin nie sprzeciwiał się. Już po chwili poczuł, że okład na piersiach i czole zaczyna dodatnio działać, gorzki sok nieznanej rośliny też wpływał na niego uspokajająco.

Naturalnie to nie był jeszcze koniec kuracji.

Dziewczyna obróciła chorego, zdjęła mu bez ceremonji koszulę i zaczęła nacierać grzbiet. Robiła to tak długo, aż ustąpił nieprzyjemny chłód i jego miejsce zajęło przyjemne ciepło, zaś skóra na plecach zupełnie zczerwieniała. Potem dokładnie nakryła chorego, dała nowe okłady, a do nóg położyła wielkie kamienie, najpierw silnie ogrzane przy ogniu.

Po chwili chory zaczął się mocno pocić. Ale dziewczę ani na chwilę nie spoczęło.

Po chwili znów odeszła, a skoro wróciła, przyniosła dużo miękkiego mchu, włożyła go choremu pod głowę, i ze wszystkich stron nim go obłożyła. Z małych gałązek zrobiła nad głową daszek, aby w dzień nie dokuczało mu słońce, a w nocy rosa.

Teraz Rjumin czuł się doskonale! Przestało mu być zimno, twarz pokrył rzęsisty pot. Nawet król nie miałby lepszej opieki. Opanowany uczuciem szczęśliwego uspokojenia, zamknął oczy, nie pytał się też już, czy to jest sen, czy rzeczywistość. Nagle odczuł ogromne pragnienie. (Ciąg dalszy nastąpi.)

BOLESŁAW DEJWOREK.

Maciek i ludzie.

Nowela.

— Nie chodźcie nikaj, przyniesiemy wam słomy, wyśpicie się, jak nie wiem co, dobrze i wygodnie wam będzie jak u siebie — ostańcie!

Maciek, jak mógł wymawiał się, gdy w tem nadeszła z podwórka Kasia i domyślając się, o co idzie, spojrzała tak dziwnie chłopcu w jego siwe oczy swoimi gorącemi czarnemi źrenicami, że mu jakaś nieznana błogość objęła duszę, jakiej dotąd przenigdy nie zaznał. Rzekła prosząco spłoniona jak mak polny.

— Ostańcie!...

I został. Ale tej nocy ani na sekundę oka nie zmrużył. Nie dały mu spać dziwne myśli, co się jedna za drugą tłoczyły do głowy nieznane. Oto znalazł wreszcie taką, jakiej najśmielszem marzeniem w swej wyobraźni nie stworzył. Znalazł taką, jakiej nie widział dotąd nigdy i nigdzie ani w Miechowie na jarmarkach, ani w Zielenicach na odpuście. Widziała mu się, jak ten kościelny obrazek, jak ten kwiat prześliczna, że ani tego słowami powiedziećby sam sobie nie mógł. I dobra widać była, bo jej to z oczu patrzyło i gospodarna... A i cóż z tego, że znalazł, kiedy to nie dla niego. Toć Baśka nie taka była a nie chciała go, a cóż dopiero Kasia, co się jeszcze wydaje... Inszy ją będzie miał — hej!...

I zazdrościł temu, kto ten bezcenny skarb posiędzie, i modlił się w prostocie ducha, jakiemi mógł słowami, aby mu drugą taką Bóg pozwolił spotkać... Aż spostrzegł, że choćby drugą taką i spotkał, toby mu była obojętną, boby to była nie ta... Że coś się w nim stało, kiedy pierwszy raz spojrzał w jej oczy. Że już nie będzie szukał, bo mu żadnej więcej znać ponad tę nie potrza. To znowu tłumaczył sobie, jak mógł, perswadował, że nic z tego myślenia, bo go ona nie zechce, bo zanadto świarna, bo wreszcie ma kogo innego już, ale próżno, nie miał władzy nakazać sobie przestać o niej myśleć.

Aż rozświetlił się brzask i zbudzone skowronki swój pacierz poczęły Bogu śpiewać. Wzeszło słońce i ranek prześliczny, podeszczowy, uroczysty, niedzielny wstał nad światem. Maciek się umył, ubrał i tłumacząc się pośpiechem, pożegnał matkę i córkę. Ta go do furtki odprowadziła.

Przeogromne płomienne uczucie zrodziło się i zawładnęło jego duszą; było zaś tak potężne, żeby wysłowić nie zdołał, — a czuł potrzebę powiedzenia Kasi o tem, co się w nim działo. Poczynały się jakieś nieznane słowa w głębinach duszy — nie potrafiłby ich wymówić. I — mimo tysiąca słów co się do ust cisnęły nic jej nie rzekł przy rozstaniu, ino spojrzał na nią tak, jak czuł, i drobną jej rączkę mocno uścisnął.

Bo i nie potrza było słów. — Kasia poznała, co jest z Maćkiem...

V.

W półwieczerz znalazł się Maciek na środku drogi, zaś po obu stronach miał chałupy gęsto zabudowanej wsi. Skąd się tu wziął, gdzie był, i co robił dotąd od rana, nie umiałby tego powiedzieć... Wyjął fajkę, nabił ją tytoniem, że jednak nie miał zapałek, tak se myśli, idąc a rozglądając się:

— Jakaś wieś nieznajoma — hm, trzaby kogo poprosić o ogień. Popytaćby się warto, co to za wieś. Zamożne tu widać chłopy, bo zabudowania mają dostatnie.

Gwar usłyszał w podle, patrzy, a tu pod jedną chałupą gromada chłopów stoi, i o czemsik radzi. Przystanął se tedy za płotem na drodze i prosi któregoś z brzegu o zapałki. Zakurzyli se i Maciek pyta:

— Nad czemże tak radzicie?



— A wójta wybieramy, nie widzicie? Wy, widzę nie tutejszy jesteście, prawda?

— Jużci że nie — powiada Maciek i przygląda się chłopom. Radzili zawzięcie i kłócili się głośno, a sprzeczali. Kandydatów było moc, a niejeden miał w duszy ochotę i nadzieję zostać wójtem, i niejeden kandydata stawiał, ale mu w duszy zazdrościł.

Od gromady dzieciaków, co się po drodze uganiała, przyleciał do tego, co z Maćkiem rozmawiał, nieduży chłopak i schwyciwszy ojca za skrzydło kapoty, jął go o coś nieśmiało molestować.

— A dyć dajciez tatusiu, nieduzo przecie, ino pół złotego.

— Na cóż ci?

— Toli kupie se gołębia pocztowego, taki ładny siwiutki, będę miał parę, adyć dejcie, moi złoci, — całował ojca w rękę i patrzył mu w oczy.

— A odczepże się utrapieńcze...

— Przecie ino pięćdziesiąt groszy, niedrogo, tatusiu.

Chłop się zamyślił.

— Tatusiu...

— A naści już i daj mi święty spokój — rzekł chłop, szukając po kieszeni, potem do Maćka:

— Z dziećmi to tak zawdy, umyśli se ta co, i jak zacnie prosić, to się nima jako wymówić.

Zaś chłopak, przyjrzawszy się Maćkowi, przypadł do niego, i pocałował go dwa razy w rękę, i rozradowanym głosem mówi do ojca:

— Tatusiu, to ten człowiek, co mi dali cztery złotówki wczoraj. A ino, poznałem, ten sam, — przekonywał.

Maciek, poznawszy chłopaka, uśmiechnął się do niego... Ale jakoś inaczej jak dawniej, jakoś smętnie... i pyta:

— No jakże — nie bili?

— E, gdzietam, bili, — odpowiada, spoglądając na ojca i poprawiając majtczęta, a ino jeszcze trzy razy.

— A o cóż?

—Raz o to, żem był długo, drugi, żem zgubił pieniądze, a trzeci raz, żem wam nie podziękował.

Śmiejąc się, dobywał pieniądze ojciec, poglądał na syna z zadowoleniem i ojcowską miłością, dając mu złotówki mówił:

— Naści, oddaj dobremu człowiekowi, a podziękuj pięknie, jak się patrzy.

— A wiecie, jak szedłem nazad, to znalazłem zgubę. Leżały pod drzewem, com se z niego kijek urżnął.

A Maciek pogładził chłopaka po głowinie jasnej, bo mu się udał okrutnie, że śmiały był i żywy i nie chciał przyjąć pieniędzy.

— Weź se, weź, to ci się ta na co przydadzą. Kupisz se za nie co, gołębi albo organki. Nie wiesz to, jak starzy powiadają, że „kto daje, a odbiera, to się w piekle poniewiera?

Choć to było na uboczu, sporo ludzi zauważyło, i przybliżać się, a przyglądać poczęli onej scenie, zaś Maćka, kiedy tak gładził patrzącego rozradowanemi, pytającemi oczyma chłopaka jakaś tęsknota, przemożne pragnienie chwyciło za serce.

— Mój Jezu, żebym to ja miał takiego chłopaka, takiego swojego... syna...!

I westchnął. Chłopi mówili do siebie półgłosem:

— Cie, jakisi dobry człek.

— I mądry jest, z oczu widać.

— Juści.

— I dzieci widać lubi.

— No.

— I bogaty widać je, ctery złote dał Wawrzkowemu chłopakowi.

(Dokończenie nastąpi).

STRASZNE SCENY W MORZU PŁOMIENI.



W poprzednim numerze „Roli“ donieślimy o pożarze kościoła w rumuńskiem miateczku Cloesti, którego ofiarą padło 110 osób. Szczegóły o strasznych scenach, jakie się tam odbywały w czasie pożaru, mrożą krew w żyłach. Pożar powstał momentalnie; od świecy zapaliły się wieńce na ołtarzu, a w jednej chwili morze płomieni objęło zgromadzoną ludność w świątyni. W kościele zakotłowało. Mężczyźni, kobiety i dzieci rzucili się ku wąskim drzwiom, ale te były już zatarasowane. Fala ludzka nawróciła ku środkowi kościoła, gdzie ogniste płomienie wżerały się w ciała ludzkie. Wszyscy szukali dogodnego przejścia do ucieczki, a nikt go znaleźć nie mógł, bo nigdzie go nie było. W strasznej panice chwytali jedni drugich za bary, aby ich odepchnąć z drogi i umożliwić sobie ucieczkę. Skłębiły się ciała na ziemi, a z żywej tej masy wydobywał się krzyk, jęk i skowyt ludzi, żartych przez ognisty żywioł. Ci, którzy byli na wierzchu, konali od żaru ogniowego, ci zaś, którzy znaleźli się pod stosami ciał ludzkich, ginęli pod ich ciężarem. A gdy przybyła na miejsce straż pożarna, zastała zamiast kościoła tylko kupę gruzów i popiołu, a wśród nich zwęglone ciała nieszczęśliwych ofiar, niejednokrotnie trudnych do rozpoznania. Można sobie wyobrazić rozpacz tych, którzy w mieścinie owej ocaleli, to jest tych, którzy w dniu tym do kościoła nie poszli. Po owej strasznej katastrofie ludność do dziś dnia jeszcze nie ochłonęła i nieprędko ochłonie.



MACIEK BZDURA GADA:

A przecie człowiek nie jest najdoskonalsem stworzeniem na świecie! Juz wartniejse jest od niego takie drzewo; jest ono niby jedno, a nie jedno, bo z jednego pniaka wyrasta taka moc gałęzi, ze ich nawet porachować nie mozna, a zasie z kuzdej gałęzi rozchodzą sie jesce mniejse gałązecki, a na kuzdej gałązecce bieli sie wianusek kwiatków, a znowu kuzdy kwiatek daje słodziuśki miód, który bez cały dzień mogą tysiące i tysiące pscółek lizać. A człowiek co? Jedne ma ręce, jedne nogi, jedną gębę i jedno wszyćko. A jak sie na to człowiekowe jedno niejedną dzieucha uchciwi, ale ich więcej, to z tego ino strapacyja, bo jedną rzecą wszystkich dzieuch naraz obdzielić ni mozna. I jak sie jedna do gęby przytuli i pocnie ją całować, to la drugiej miejsca tam nima i musiałaby se go sukać kaj indziej. Zeby to tak cłek miał sto gębów i po sto kazdej rzecy, abo choćby po dziesięć, toby było całkiem weselej na tem świecie.

A tak to co? Ja nie przymierzając, jako normalny człowiek, a nie zaden kalika, mam wszyćko pojedynco, a tu dzieuchy z całego świata na to lecą i jakze je obdzielić? Zeby to ja był takiem drzewem i na kuzdej gałązecce miał jeden kwiatek, to niechby sie ta i tamta pociesyła i byłoby wszyćko dobrze. Ale tak, jak jest, nikt nie poradzi i bez to ino kłopotu duzo a pozytku zadnego.

Scególniej na moją urodę w ostatnich casach uwzieły sie wszyćkie hrabianki miastowe i kuzda z nich chciałaby mnie mieć ino la swojego lizania, ale mnie sie to nijak nie widzi i do tych miastowych ni mam jakosik zaufania. Bo popatrzyć ino na taką miesckę kapelusową, a na wiejską dziewicę, jeśli sie gdzie taka znajdzie, a zaraz zuźry sie różnicę.

Zacnijmy od głowy, bo to pono la niktórych ludzi najważniejsa cęść ciała, a zaraz spenetrujemy, ze między kapeluśnicą a wsiowską dzieuchą jest ogromna różnica. Miescka bez to, ze jest belada i wymęcona, sypie na gębę piasek, wali farbę i latego wygląda, jak wymocek, lezący styry lata we wodzie. A dzieucha wsiowa ma gębę nicem burak ćwikłowy, a choćbyś na niej groch młócił, to sie jej nic nie stanie. Jak kapeluśnicę jaki śmiglanc pocałuje, to na jej gębie znać to zaraz, a dzieuchę wsiową choćby cały regiment wojska bez miesiąc całował, to ani śladu nie zostanie.

A na głowie u miescki, albo inny hrabianki to prawie ze kudłów nie uświadcys. Udają, ze je obcinają, bo naprawdę to ich tam tak mało, ze i nima co obcinać. A jakbyś dobrze w garść ujął i aligancko ksobie pociągnął, toby ci to wszystko w łapie zostało. A musi to być słabe, bo pod te kapelusowe skopcyki powietrze nima dostępu, to i włos dobrze nie rośnie. Tak jest na głowie i tak gdzieindziej, gdzie powietrze ni ma dostępu, tam kuzda roślinka usycha. U dziwki wsiowskiej wszędzie włosy mocne, jak ostręga, a choćby je chłop i bez cały rok obdzierał ze łba, to sie nie dadzą, a choćby nawet od casu do casu trochę ich udar, to na świzem powietrzu nowe wyrosną.

U miastowej hrabianki to w gębie, jak u zegarmistrza, jaze sie świci złoto. Myślałem ja drzewi, ze kapeluśnice juz ze złotemi zębami sie mnozą, ale pedzieli mi łujkowa ciotka, ze kapeluśnice na słodycach zęby se popsuły i teraz mają gęby stukowane. Dziwka wsiowska na chlebie i baszcu gęby se nie podziurawi!

A tu z przodu, przed sobą, u dziwki wsiowski rodowite ciało, ze jaze para z niego bucha i jakby trza było, toby z niego pół cetnara salcesonów zrobił, a u miastowych hrabianek nic, ino wata, albo i zagłówecek cały. Opatrzcie, a przekonacie sie, ze prawde gadam.

A zasie w pasie... bo i w pasie przy dzisiejsych przeźroczystych sukienkach mozna wszyćko u miastowej dzieuchy bez okularów zuźryć... w pasie kuzda kapeluśnica, jak osa, cienusieńka, dziw jeno, ze jej kiedy wiater nie przełamie, a juz chłopak to ni ma co wziąć w pazury i latego z miesckami tak delikatnie miastowe chłopaki sie obchodzą, bo sie boją, aby tego nie poprzetrącać. A popatrzyć sie na wsiowską dzieuchę: w sobie obsyrnia, jak plebańska stodoła, a w razie potrzeby to i la dziesięciu wystarcy.

Albo gnaty u miescki? Wszak wszyćkiem wiadomo, którzy sie takimi rzecami zajmują, ze taka kapelusowa hrabianka, choć z wirzchu wygląda jak niewiasta. to pod spodem w ubraniu nicem sie od chłopa nie różni. Portecki tamują do jej korzeni nogowych dostęp świzego powietrza, wskutek cego nogi te wyrastają nicem jakie badyle i dziw ino, ze sie wszyćko przy silniejsem stąpnięciu nie połamie kiedy. Zato u wsiowy dzieuchy... prosę siadać: łapa jak u niedźwiedzia. A z tego moze być pozytek i wygoda.

Poźryjcie wreście na ręce kapelusowej hrabianki! Toby to przecie na dobry jenteres pchły udusić nie mogło, a nie dopiro wziąć sie do porządnej roboty. A gdy przyńdzie do ślubu, to jegomość nie mają co stułą wiązać; zato u wsiowskiej dziopy, choćby i postronkiem to jest co i bez to taki ślub wsiowy nie tak prędko sie rozlatuje, jak miastowy.

I latego tez, jakby mnie juz miał Poniezus naprawdę pokarać, to niech mnie ochrania od miescek wszelakich, a juz wolę dziesięć nawet dzieuch ze wsi, anizeli, Boże odpuść, jedną miastową dzierlatkę. Ma sie rozumieć, ze mówię tu tylko o takich z wielgich miast, bo przecie Krzesowice, Scakowa, albo inkse Mościska, to nie miasto.

Staszkom na wiązanie.

Bez najmniejszej trudności wiersz w głowie składa się
Tak, że żadna w niej klepka nic się nie mozoli,
Aby Wam dziarskie Staszki i urocze Stasie
Złożyć szczere życzenia na szpaltach tej „Roli".

A więc życzę: Niech szczęście w samo kwiecie wonne
Dni Wam, Stasie i Staszki, obficie ustroi,
Niech Wam z czoła pospędza wszelkie myśli płonne
I u progu Waszego niech niezmiennie stoi!

O Wy, Staszki i Stasie! Niechaj promień złoty
Szczęścia stawa przy każdej wszczętej przez Was pracy;
Niech Wam niesie bez liku, bez końca pieszczoty,
Boście Wy mi tak mili i kochani tacy!

Wszystkim Staszkom bym dłoń dziś uściskał serdecznie.
A wszystkie hoże Stasie przytulił do łona,
Gdzieby główki ich cudne spoczęły bezpiecznie...
Takbym pragnął, choć widzę, że to myśl szalona!..

A kiedy to życzenie me spełnić nie da się,
To niechże za mnie Stasia ucałuje Staszka,
A zaś Staszek niech dzisiaj uściska swą Stasię
I bądźcie szczęśliwi, a o mnie... to fraszka!

Antoni St. Bassara.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Palestyna IX.

W pobliżu Jerozolimy znajduje się Góra Oliwna, tak nazwana od drzew oliwnych, któremi była pokryta. Góra ta dostąpiła tej wielkiej chwały, że u jej podnóża przepędzał często noce Najświętszy Zbawiciel, a z jej szczytu wstąpił do nieba. Toteż dziwny ma ona urok dla chrześcijanina, a samo jej wspomnienie niewypowiedzianą tęsknotą ale i otuchą serce ziemskiego tułacza napełnia. Opowiadają stare kro-



Góra Oliwna.

niki, że nieraz pielgrzymi, wszedłszy na jej szczyt, wznosili ręce ku niebu i prosili gorąco, by ich Pan wyzwolił z tej doczesnej wędrówki, a nawet jeden z nich, Letbald z Autun, został wysłuchany, bo rzuciwszy się w głębokiem wzruszeniu na ziemię, już z niej więcej nie powstał.

Góra Oliwna ma trzy szczyty, z których północny zowie się zwykle Viri Galilasi (mężowie galilejscy), południowy górą Zgorszenia, a środkowy i najwyższy, bo 2557 stóp czyli 830 metrów mający, Górą Wniebowstąpienia.

Niedaleko ogrodu Getsemani pokazują białawy kamień, na którym według podania siadywała Najświętsza Bogarodzica, zwiedzając te święte miejsca i skąd modlitwą wspomagała św. Szczepana, podczas gdy go opodal kamienowano.

Prawie na samym szczycie, gdzie się drogi rozchodzą, trzy drzewa oliwne oznaczają to miejsce, w którem Archanioł Gabrjel miał zwiastować Bogarodzicy śmierć bliską.

Najwięcej zwraca uwagę na siebie Góra Wniebowstąpienia. Tu bowiem Pan Jezus wobec zasmuconych uczniów wzniósł się do nieba, dawszy im ostatnie rozkazy i obietnice.

Już w wieku IV zbudowała św. Helena na tem miejscu wspaniały kościół, mający kształt rotundy, której szczyt nie był zasklepiony, wierzono bowiem, że zasklepić się nie da; na posadzce zaś pokazywano odcisk stóp Zbawiciela. Gdy ten kościół w r. 614 zburzyli Persowie, wzniósł opat Modest podobną do pierwszej rotundę, przy której Karol Wielki osadził w wieku VIII ośmiu Benedyktynów. Świątynię tę, zburzoną przez Hakema (1010 r.) zrestaurowali Krzyżowcy a straż jej powierzyli kanonikom św. Augustyna; lecz i ten kościół uległ zniszczeniu (1187) tak, iż została tylko mała kaplica, dziś przemieniona na meczet. Jest to budowa ośmiościenna z kopułą o cztetrech oknach, ale tak zaniedbana, brudna i ciemna, że aż serce boli na nią patrzeć. Do tego zostaje pod władzą muzułmańskiego derwisza, który za pieniądze wpuszcza do środka, a nawet pozwala mszę św. odprawić.

Co rok w wigilję Wniebowstąpienia przychodzą tu OO. Franciszkanie i tak w nocy, jak i w dzień następny odprawiają nabożeństwo na ołtarzach przenośnych, podczas gdy inne wyznania mieszczą się poza kościołem.

O śladach stóp Chrystusowych donosi wielu wiarygodnych pisarzy, dodając przytem, że wierni z całego świata przychodzą je oglądać. Widział je Arnulf w roku 670, a wtenczas była nad niemi żelazna krata i paliła się lampa. Podobnie w wiekach średnich pisarze wspominają o tych śladach, lecz przytem dochodzi nas (z r. 1230) skarga, że Saraceni jedną stopę przenieśli do meczetu Omara, twierdząc, jakoby to był odcisk stopy Mahometa, który także ich zdaniem z Góry Oliwnej wstąpił do nieba. Dziś jeszcze widać w dawnym kościele Wniebowstąpienia ślad lewej stopy, omurowany wokoło, zbyt jednak zniszczony przez pobożną chciwość pielgrzymów, aby go można rozeznać. Obok meczetu jest minaret, z którego rozległy otwiera się widok.

Na południe od dzisiejszego meczetu widać resztki klasztoru kanoników św. Augustyna i grotę św. Pelagji. W tej grocie pokutowała Małgorzata, aktorka antyocheńska i rozpustna poganka, która nawróciwszy się na kazaniu św. Nonnusa, biskupa edesseńskiego, w sukniach męskich i pod nazwą Pelagji opłakiwała tu swe młodociane grzechy; tu też umarła i została pochowana. Dawniej była tu kaplica, lecz dziś została tylko krypta.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zaklęty dwór.

Powieść z przeszłego stulecia podług Walerego Łozińskiego.

Kost' groźny i milczący posunął się naprzód, a lekkiem poruszeniem ręki dał znak dziewczynie, aby wyszła z pokoju. Dziewczę zawahało się jakby w jakiejś obawie tajemnej, ale Kost' powtórzył dobitnie swój znak i mruknął z naciskiem:

— Niech panna wyjdzie...

Dziewczyna krótką chwilkę zdawała się jeszcze walczyć z sobą, ale nagle szybko jak strzała pomknęła ku schodom.

Kost' i Katilina zostali sami.

Stary kozak stał niemy i nieruchomy na miejscu i zdawał się bacznie mieć ucho na lekkie kroki zstępującej ze schodów dziewczyny.

Katilina tymczasem obrócił się spokojnie i gwiżdżąc przez zęby, wszedł napowrót do czerwonej sali i z najzimniejszą krwią zaczął zapalać sobie cygaro o pozostawioną na stole świecę.

Kost' Bulij jeszcze groźniejszy wszedł po chwili za nim.

Katilina spojrzał nań od niechcenia.

— Ho, ho! mój zacny przewoźnik — mruknął wesoło. — Przedwczoraj potraktowaliście mię fajką

tytoniu, może dziś za to przyjmiecie ode mnie cygaro — dodał, wyciągając rękę z kilku cygarami.

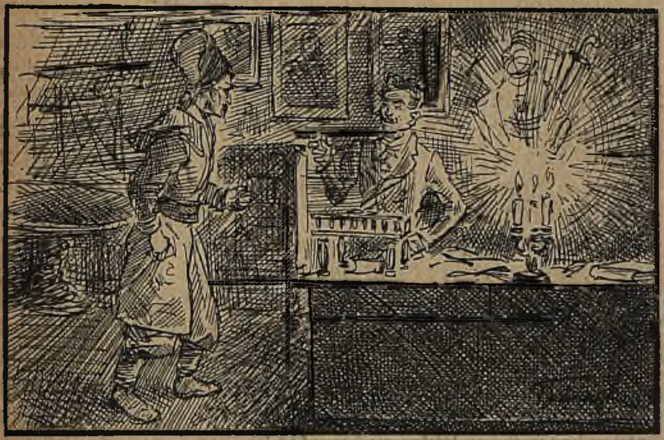
Kost' jeszcze straszniej nasrożył czoło i postępując o krok naprzód, wybuchnął z gwałtownie powstrzymywanym impetem:

— Co tu robisz, czego tu chcesz?... ty!

Katilina obojętnie puścił spory kłąb dymu przed siebie.

— Pst, pst, bratku — odezwał się drwiąco, przykładając palec do nosa. — Tylko spokojnie, bez uniesienia.

— Czego tu chcesz? — krzyknął stary kozak jeszcze donośniej i znowu o krok postąpił dalej.



Lufa pistoletu zagroziła mu o trzy kroki.

— Owa! — zaśmiał się szyderczo Katilina. — Szukasz okazji, jak widzę. Wrzeszczysz bratku, że aż nieboszczyki poruszyli się na swych gwoździach.

Kost' mimowolnie rzucił okiem na ścianę obwieszoną portretami i w samej rzeczy przytłumił głos cokolwiek.

— Poco tu przyszedłeś, pytam? — zapytał niemniej groźnie.

Katilina zagwizdał swoim zwyczajem.

— Po to samo, poco i ty bratku.

Kozak aż drgnął cały, tak srogim na tę odpowiedź zakipiał gniewem.

— Ha! poczekaj łotrze! nauczę cię! — wrzasnął gromowym głosem i posunął się naprzód.

Katilina zmarszczył brwi od niechcenia.

— Słuchaj-no drągalu — rzekł, podnosząc głos cokolwiek — chcesz widzę oberwać po skórze.

Kost' Bulij z niemą zaciekłością przygryzł wargi, oczy mu krwią zaszły, a ręką sięgnął w zanadrze.

— Dam ja ci ty sobacza, szpiegowska duszo! — huknął, a w ręku jego długi zabłysnął nóż.

Katilina cofnął się o krok w tył i zaśmiał się na całe gardło. Kost' mimowoli przystanął na miejscu, lufa pistoletu zagroziła mu o trzy kroki.

Katilina nie ustawał w swym rubasznym śmiechu.

— Dobry masz nóż, stary błaźnie, tylko trochę za krótki!

Stary kozak stał jak wryty, ale z oczu strzelały mu błyskawice, jakby mimo tak bliskiego niebezpieczeństwa kuli chciał rzucić się przeciwnika.

Katilina usiadł spokojnie na pobliskim fotelu.

— Pogadajmy — rzekł z flegmą — tylko bez gniewu, a porozumiemy się.

Kost' cały trząsł się od złości, ale nic nie odpowiedział.

Katilina spokojnie ciągnął dalej:

— Nazwałeś mię złodziejem lub szpiegiem, to wielka obelga, lecz pal cię djabli, nie mam do ciebie żalu, bo z pozoru mogłem zakrawać na coś podobnego, choć właściwie wszedłem do dworu jako przyjaciel i sprzymierzeniec.

— Przyjaciel i sprzymierzeniec? — mruknął Kost' przez zęby z szczególniejszem spojrzeniem.

— Tak, szanowny kluczniku, przybyłem strachowi zaklętego dworu wielką wyświadczyć przysługę.

Kost' coś niezrozumiale mruknął przez zęby.

— Przedewszystkiem musisz jednak wiedzieć — prawił Katilina dalej, — że w nadziemskie innoświatowe strachy nie wierzę, toteż przygotowałem się tylko do rozmowy z ludźmi żyjącymi.

— Lecz czegóż pan chcesz? — zahuczał klucznik ledwie zrozumiale.

— Chcę pomówić poufnie ze strachem, czyli właścicielem tajemnicy zaklętego dworu.

— Masz mię pan przed sobą.

— Ba, ba, ja nigdy nie lubię zaczynać od ogona tam, gdzie się spodziewam głowy.

— Tu prócz mnie, stróża i właściciela tego domu, niema nikogo więcej.

— Fiufiu! a ta bogini jasnowłosa?

— Nie widziałeś pan nikogo prócz mnie! — krzyknął stary kozak z jakimś rozpaczliwym naciskiem.

Katilina parsknął głośnym śmiechem i zapominając się, lufę pistoletu zniżył ku ziemi. W tej chwili stary kozak szybko jak błyskawica rzucił się na niego, a chwytając jedną ręką za przychylony na bok pistolet, drugą porwał za gadło przeciwnika i wraz z fotelem powalił na ziemię...

Katilina krzyknął dziko, ale zaskoczony z nienacka nie mógł utrzymać broni w ręku, ani oprzeć się nagłemu napadowi. Po kilku chwilach gwałtownego pasowania się, ujrzał się rozbrojonym i gwałtownie powalonym na ziemię. Olbrzymi klucznik kolanami przykląkł mu na piersiach, wydarty pistolet rzucił daleko w kąt pokoju i znowu ów długi, straszny nóż zabłysnął w jego ręku.

Katilina mimo swej zuchwałej odwagi, uczuł zimny dreszcz po całem ciele. Oczy starego kozaka zaszły krwią, usta drgały konwulsyjnie, z poza silnie zaciśniętych zębów toczyła się piana wściekłości.

XIII.

Zwierzenia.

Julijusz nie wiedział nic zgoła o zuchwałej wyprawie Katiliny, ale całą noc trapił go jakiś sen niespokojny i burzliwy.

Z brzaskiem dnia rozwarł oczy i zaraz wyskoczył z łóżka, a dla lepszego orzeźwienia się z ociężałości, zwykłego następstwa każdej źle przespanej nocy, wybrał się na konną przejażdżkę.

Nie wyjechał jeszcze kilkanaście kroków za bramę, kiedy zaszedł mu drogę zamówiony na dziś do dworu były żołnierz, Mykita Ołańczuk. Miał w ręku obrudzony swój kapelusz bez dna i wpatrzył się w młodego dziedzica z niemem zapytaniem, jakby przypominając wczorajszą rozmowę.

Julijusz zatrzymał konia, ściągnął brwi, że Mykita tak wcześnie zaszedł mu drogę i zapytał:

— Cóż mi masz powiedzieć?

Eks-żołnierz przechylił głowę na bok i przybrał minę tajemniczą i podstępną.

— Tej nocy znowu maziarz był we dworze i dopiero ze świtem wyjechał ze swym wózkiem obładowanym.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

CUD ŚW. STANISŁAWA.



Już we wstępnym artykule zaznaczyliśmy, że jednym z największych cudów, jakich dokonał św. Stanisław za życia swego, to było wskrzeszenie zmarłego Piotrowina. I któż to był ów Piotrowin, o którym powiada nam owa piękna legenda? Zwał on się właściwie Piotr z Janiszowa Strzemieńczyk, a był właścicielem wsi Piotrowin, rozciągającej się nad Wisłą w dawnem województwie lubelskiem. Otóż ten Strzemieńczyk, zmuszony koniecznością, postanowił wioskę swą Piotrowin sprzedać. Dowiedział się o tem ks. Biskup krakowski, Stanisław Szczepanowski, i wioskę ową kupił, nie dla siebie, ale dla biskupstwa, aby z dochodów, jakieby ta wieś przynosiła, biskupstwo mogło pokrywać rozliczne wydatki, związane z tym urzędem. A że nie było wówczas ani ksiąg hipotecznych, ani notarjuszy, więc też św. Stanisław za wieś zapłacił umówioną cenę, a pan Strzemieńczyk pieniądze schował, wieś biskupowi oddał i zdawało się być wszystko w porządku. I byłoby w porządku, gdyby nie klątwa, jaką św. Stanisław rzucił na króla. Zapalczywy król, przeciw któremu wystąpili książęta szczepowi i urzędnicy z wojewodą Sieciechem na czele, a których popierało duchowieństwo, pragnące się wyzwolić z pod władzy świeckiej, chciał w pierwszym rzędzie rzucić podejrzenie na najzacniejszego męża, jakim był św. Stanisław, aby go w opinji publicznej poniżyć, a przeto pozbawić go stronników. Bolesław Śmiały wiedział, że św. Stanisław nie posiada kontraktu kupna Piotrowin, bo takich kontraktów nie spisywano, wiedział również, że nie było świadków owego kupna, a choćby byli, to żaden nie odważyłby się świadczyć przeciw królowi, a przeto zdawało się mu, iż niema nic łatwiejszego, jak oskarżyć biskupa o przywłaszczenie sobie cudzej własności, wieś kupioną odebrać, a biskupa w opinji wiernych poniżyć.

Ale tu św. Stanisławowi przyszedł z pomocą sam Pan Bóg, którego ten wielki mąż przez trzy dni o pomoc błagał. Kiedy po trzydniowych modłach św. Stanisław stanął nad grobem zmarłego przed trzema laty Piotra Strzemieńczyka i wypowiedział słowa: „Piotrze! W imię Boże powiadam ci wstań!“, stoczone przez robaki ciało szlachcica pokryło spróchniałe kości, przybrało wygląd dawniejszy i z grobu powstał żywy człowiek, aby pójść przed tron królewski i dać świadectwo prawdzie.

Król musiał uznać cud i przyznać słuszność świętemu Stanisławowi, ale to jeszcze wzmogło zawiść królewską i stało się jednym z powodów strasznej zbrodni, jakiej w niedalekiej przyszłości dopuścił się ten wielki monarcha na osobie świętego męczennika.

Król wielką swą zbrodnię odpokutował na wygnaniu, jako braciszek w klasztorze benedyktyńskim w Ossyaku w Karyntji, a można śmiało przypuszczać, że skruchę w sercu królewskiem uprosił u Pana nad pany sam święty Stanisław, aby dać ludzkości przykład, że nawet największa zbrodnia może być przez Boga darowana, jeżeli tylko zbrodniarz nawróci się i szczerze za nią żałuje.

I ani na chwilę nie można wątpić, że gdy umarł Bolesław Śmiały i stanął przed tronem Bożym, to tam pierwszy i z największą radością powitał go św. Stanisław, który zginął z ręki owego monarchy.

Zbrodniarze.

Przy drodze z N. do W. stała karczma, różniąca się tem od innych, że panował w niej ład i porządek. Nie miały tu nigdy miejsca pijatyki, jak się to działo w innych tego rodzaju lokalach, gdyż właściciel jej p. Płoszka dbał o to, aby zakład jego był wypoczynkiem dla przejezdnych, w którymby się głodny mógł posilić, a spragniony usta swe odwilżyć. P. Płoszka nie dbał o wielkie zyski, toteż odmawiał stanowczo sprzedaży napojów, jeżeli tylko widział, żeby to gościom jego mogło zaszkodzić. Do lokalu p. Płoszki wstępował też chętnie tak chłopek miejscowy, jak i mieszkaniec pobliskiego miasta, a nie gardził nim i obywatel ziemski, czy inny inteligent, tak miejscowy, jak i przejezdny.

I ja, chociaż nie jestem zwolennikiem nietylko alkoholu, ale nawet życia restauracyjnego, wstępowałem często do gospody p. Płoszki, aby zimą wypić szklankę herbaty, a w lecie ochłodzić się sodową wodą. Czyniłem to i dlatego, że tam można było dowiedzieć się o niejednej rzeczy, jaka miała miejsce w najbliższej okolicy, o której z innego źródła byłbym się nigdy nie dowiedział. Wiadomo przecie, że człowiekowi żonatemu własna jego połowica naznosi tyle bajeczek, że mu to wystarczyć może na czas dłuższy, ale biedny kawaler, jakim ja jestem od urodzenia aż po dzień dzisiejszy, gdzież ma swe ucho pożywić? Szedłem więc do gospody p. Płoszki i słuchałem wszystkiego, o czem sobie tam opowiadano.

Zdarzyło się pewnego razu, że gdym wstąpił do gospody, lokal był zupełnie pusty. Ale gdy mi tylko p. Płoszkowa przyniosła szklankę musującej wody sodowej, ozwał się na drodze warkot samochodu, a po chwili wtłoczył się do izby jakiś opasły jegomość. Zaledwie usiadł przy stole, znów przed karczmę zajechało drugie auto, z którego wysiadł inny podróżny, zupełnie odmienny od poprzedniego. Wszedłszy do izby, usiadł przy tym samym stole, przy którym siedział grubas. Nie wyrzekli do siebie ani słowa, ale z min ich widziałem, że dla obydwóch spotkanie to było bardzo nieprzyjemne.

Po dobrej chwili dopiero odezwał się grubas:

— No, no, nawet najlepszemu przyjacielowi nie można wierzyć!...

— A nie można! — odparł szczupły.

— Wszak postanowiliśmy sobie, że na miejscu tem nigdy się nie zjawimy.

— No, a ty przyjechałeś!

— A ty niby nie?

— Jestem tu poraz pierwszy od tego wypadku...

— Niemiłe wspomnienie, co?

— Nie lubię mówić o tem...

Umilkli obaj, pogrążając swe wąsy w bursztynowem piwie.

— No i jakże ci się powodzi? — zapytał po chwili szczupły.

— Ostry nóż i trochę zręczności, a nie można narzekać. A ty?

— Cóż ja? Działalność moja trochę skrępowana. Ożeniłem się, wskutek czego wszelkie moje dochody toną w kieszeni mej połowicy, a zawsze jej zamało. Nie dba o to, iż za każdym razem narażam swoje życie: chciałaby coraz więcej i więcej.

Zapanowało znów milczenie.

— A jednak źle robimy, wracając tutaj... Dreszcz mnie przeszedł, gdy po tylu latach zobaczyłem to miejsce...

— Niewytłomaczona siła pcha człowieka. Zdawało mi się, że nerwy moje uspokoją się, gdy jeszcze raz tu przybędę. Tyle krwi widziałem później, lecz patrzyłem na nią bez wzruszenia, a tej jednej zapomnieć nie mogę.

— Raz jeden tylko drgnął, a potem zwalił się, jak kłoda...

— W kałuży krwi...

— Milcz już nareszcie! Podobne rzeczy pozostawiają straszne wrażenie.

Po tych słowach obaj podróżni przywołali p. Płoszkę, zapłacili za wypite piwo i wyszli z gospody. Rozmowa ich pozostawiła jednak w mym umyśle niezatarte wrażenie. Byłem pewny, iż miałem przed sobą dwóch zbrodniarzy, którzy przed kilku laty dopuścili się gdzieś w pobliżu strasznego morderstwa. Świadczyły o tem wyraźnie wszystkie ich powiedzenia. Dręczyła ich pierwsza zbrodnia, choć do tej chwili nie zaniechali swego zbrodniczego procederu. Wynikało to z powiedzenia grubasa o nożu i zręczności, a owego drugiego o ciągłem narażaniu swego życia.

Spędziłem noc okropną z powodu tego niespodziewanego podsłuchania cudzej tajemnicy. Prześladowały mnie straszne sny. wśród których wracała znana sentencja: „Ktokolwiek wie o zbrodni i nie wydaje zbrodniarza, staje się winnym przestępstwa".

Postanowiłem udać się na policję i opowiedzieć wszystko. I tak też uczyniłem.

Upłynęło dni kilka a o ujęciu morderców nic nie było słychać. Zaintrygowany takiem niedołęstwem naszych władz bezpieczeństwa, którym podałem dokładny opis zbrodniarzy i numery samochodów, udałem się na policję, aby dowiedzieć się o wyniku pościgu.

Komisarz policji przyjął mnie ze zwykłą uprzejmością.

— Widzę, kochany panie, że interesuje cię jeszcze twoje doniesienie. Otóż wiedz, iż zarządziłem jak najdokładniejsze poszukiwania i stwierdziłem, że ten pan gruby, to Jan Szopka, rzeźnik z Krakowa, a ów szczupły Karol Dratwa, akrobata z cyrku wędrownego. Obydwaj są to najspokojniejsi ludzie w świecie i nigdy żadnej zbrodni nie popełnili.

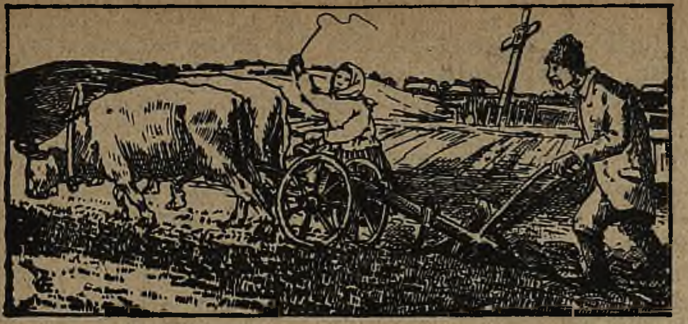
— No a opowiadanie ich o tej pierwszej krwi? — zapytałem.

— Ach, prawda! Otóż wspomnienia ich odnosiły się do wypadku, jaki miał miejsce kilka lat temu przed gospodą p. Płoszki. Panowie Szopka i Dratwa, koledzy z czasów wojny, doznali strasznego wypadku samochodowego przed wspomnianą gospodą. Omal nie zostali zabici. Rozjuszony byk, który wyrwał się ze stada, rzucił się pod ich samochód. Poranione zwierzę ostatkiem sił, brocząc całe krwią, skierowało swe rogi na podróżnych. Pan Szopka celnym strzałem skrócił jednak jego męczarnie...

— Panie komisarzu! Dureń ze mnie!

— No dureń, nie dureń, ale ma pan naukę, aby nie słuchać rozmów, nie przeznaczonych dla pańskich uszu.

Stanisław Kamyk



Poradnik gospodarczy.

Uprawa warzyw.

Nigdzie może gospodarze wiejscy nie spożywają tak mało warzyw, jak w Polsce. W naszych ogrodach wiejskich spotykamy jedynie kapustę, buraki i marchew, a na lepszych ziemiach także cebulę, uprawiają przeważnie na sprzedaż do miasteczek. Ogórki i fasolę zaledwie może w 10-ciu na 100 ogrodach spotkać można. Takie zaś warzywa jak: pomidory, fasola szparagowa, spożywana na zielono w strąkach, kalarepa, kalafiory, sałata, truskawki — to są poprostu warzywa na wsi nieznane. A przecież są to warzywa bardzo zdrowe i smaczne i wcale nie wymagają nadzwyczajnych warunków ani starań. Smutne to, lecz prawdziwe.

We wsiach naszych ogrodom poświęca się bardzo mało czasu i uwagi, tyle tylko, aby się jaka taka kapuścina, czy też marchew urodziła. Na uprawę innych warzyw żałuje się zachodu i fatygi. Gdyby jednak gospodyni wiedziała, ileby jej kłopotu odpadło w doborze pokarmów dla domowników, żeby się tak w koło nie powtarzała kapusta i ziemniaki, ziemniaki i kapusta; żeby wiedziała o ile jej cała rodzina byłaby zdrowsza, spożywając większe ilości różnych warzyw, toby z pewnością większą uwagę zwróciła na ogród i postarała się o potrzebne nasiona, a gospodarz nie żałowałby nawozu i roboty koło uprawy warzywnika.

Człowiek, bez uszczerbku dla zdrowia nie może żywić się ciągle temi samemi potrawami, szczególnie kilku bardzo często się powtarzającemi (kapusta, ziemniaki, barszcz — stale jadane na wsi, co drugi dzień na zmianę). Podobnie jak rola, którą zasilalibyśmy wciąż temi samemi niepełnemi nawozami w nieodpowiednim składzie, np. superfosfatem i wapnem — a nie dawali nawozów azotowych, ani potasowych — po pewnym czasie z braku odpowiednich składników, musiałaby wydawać marne plony, tak samo człowiek, żywiony wciąż jednemi, mało pożywnemi pokarmami, traci siły i zdrowie i do ciężkiej pracy nie jest zdolny. Człowiek też musi pobierać w pożywieniu różne składniki, które dla jego zdrowia i siły są potrzebne — składniki zaś w jednych roślinach spotykamy jedne — w innych drugie. Dlatego musimy jadać potrawy z różnych warzyw — szczególnie na wsi, gdzie mięsa jada się bardzo niewiele — ażeby się różne składniki nawzajem dopełniały. Wielu gospodarzy czy gospodyń nie uprawia warzyw poprostu dlatego, że nie wie, iż poza kapustą, burakami, marchwią i pietruszką, są jeszcze jakieś pożyteczne warzywa, w dodatku nie wie, gdzie takie nasiona dostać, a następnie jak się z temi „nowościami w ogrodzie obchodzić i jak potem je użytkować.

Tego wszystkiego można się jednak łatwo dowiedzieć z książek ogrodniczych, przy należytych zaś staraniach pożytek będzie duży. Książki, zawierające szczegółowe opisy uprawy warzyw, wymienię następujące: „Kapusta, kalafiory, kalarepa" Piechowskiego i Zalewskiego, „Hodowla warzyw" J. Brzezińskiego (książka obszernie traktująca uprawę warzyw), pozatem wiele innych. Jak pożytkować zaś warzywa lub inne produkty spożywcze t. zn. jak zdrowo i smacznie gotować, poucza bardzo praktyczna książeczka „Młoda gospodyni" — Franciszki Gensówny.

Wystarczy więc trochę dobrych chęci i trochę pracy — a wsie nasze będą miały warzywniki, jak należy.

Nie marnować gnojówki!

Nasze ziemie są ubogie w azot i dlatego mamy zbiory naogół marne. Ci, którzy zbierają lepsze plony, zawdzięczają to prócz odpowiedniej uprawy, głównie umiejętnemu stosowaniu nawozów sztucznych, a przedewszystkiem nawozów azotowych, t. j. saletry i azotniaku. Nawozy te są obecnie drogie i wobec niskich cen płodów rolniczych ich opłacalność jest wątpliwą.

Nauka i praktyka stwierdziła, że gnojówka jest poważnem źródłem azotu w gospodarstwie i dlatego rolnicy powinni baczniejszą zwracać na nią uwagę. Gnojówkę traktuje się dotąd jako „cuchnące pachnidło". Odpływa ona sobie spokojnie ze stajni zanieczyszając powietrze, ze stratą dla roli, a stać się powinna jednem ze źródeł dochodu.

Praktycznie rzecz ujmując, trzeba dno stajni pod dylami zrobić nieprzepuszczalnem, więc wybetonować tak, aby środek dna miał spad, by mocz spływał, odchodził np. rurką bezpośrednio do beczki lub cementowego zbiornika. Zbiornik ten najlepiej umieścić za stajnią — szczelnie przykryć — a przedewszystkiem dachem — aby gnojówka nie parowała i deszcz jej nie rozwadniał.

Nie należy gnojówką wogóle polewać gnoju na gnojowni — gdy jest suchy, bo dostarcza się w niej bakterjom żyjącym w gnoju azotu, który jak wyżej wspomniałem — rozkładając — uwalniają go ze stratą dla rolnika. Gdy gnój suchy, polać wodą. Tak gromadzona gnojówka jest wartościowym nawozem i choć ją przyjdzie czasem rozwodnić, opłaci sowicie trud, da więcej paszy np. buraków, w następstwie zaś więcej mleka i gnoju, a ponadto rolnik zaoszczędzi gotówki, którą wydałby musiał na kupno saletry. Szanujcie więc gnojówkę.

Stwierdzono naukowo, że gnojówka, która przeszła przez nawóz i gromadzi się albo jako kałuża, lub nawet w zbiorniku i w środku wzorowej gnojowni — niema wartości jako nawóz azotowy, gdyż bakterje obficie żyjące w gnoju, azot gnojówki rozkładają (który się potem ulatnia w powietrze) i wywołuje poważną stratę. Gdy gospodarz wywozi taką gnojówkę w pole, wywozi prawie wodę i zraża się do stosowania tejże — nie wiedząc, że polewał rolę już bezwartościową gnojówką.

Aby tej stracie zapobiec, muszą rolnicy gromadzić osobno gnojówkę, a właściwie mocz, bo ten dopiero ma rzeczywistą wartość nawozową.

KRONIKA.

Wybory do rad gminnych na Górnym Śląsku W ubiegłą niedzielę odbyły się wybory do rad gminnych w 14 gminach Górnego Śląska, a mianowicie w 6 w powiecie Tarnowskie Góry, w 3 powiecie pszczyńskim i w 5 w powiecie katowickim. Ogółem wybrano 180 radnych, z których 79 należy do stronnictw popierających rząd, 59 do opozycji, jak partja Korfantego, chadecja, komuniści, socjaliści i N. P. R., zaś 42 Niemców. Jak z powyższego wynika, Polacy wybrali 138 radnych, a właściwie 133, gdyż 5 komunistów, wybranych w Janowie (4) i Chorzowie (1), do Polaków zaliczać nie można, lecz do wrogów Polski, zaś Niemcy tylko 42. Przy poprzednich wyborach w tych samych gminach Polacy mieli tylko 103 radnych, zaś Niemcy aż 77. Jest to najlepszy dowód, że Górny Śląsk z każdym rokiem staje się coraz bardziej polskim krajem, w którym liczba Niemców szybko topnieje.

Strzelanina na torze kolejowym. Posterunkowy Władysław Ziomkowski, konwojując pociąg towarowy na przestrzeni Krzeszowice-Dulowa, zauważył osobnika, który wyskoczył z pociągu. Po przybyciu pociągu na stację w Dulowej zauważył brak plomb u dwóch wagonów ładowanych jajami, powrócił więc na miejsce, w którem zauważył, że osobnik ów wyskakiwał z pociągu. W drodze napotkał dwóch osobników idących torem, których wezwał do zatrzymania się i podniesienia rąk do góry, na co jeden z nich dał do posterunkowego 3 strzały rewolwerowe, nie trafiając go jednak, poczem obaj osobnicy, ostrzeliwując się zbiegli do pobliskich lasów. Za uciekającymi dał posterunkowy Ziomkowski 4 strzały rewolwerowe, jednak bezskutecznie, gdyż sprawcy zdołali zbiec. Poszukiwania za niemi są w toku.

Bandycki napad rabunkowy. Lwowską policję zawiadomiono, że w Woli Komborskiej obok Krosna dokonano napadu rabunkowego. Mianowicie w nocy dwaj nieznani sprawcy, uzbrojeni w rewolwery, w podstępny sposób dostali się do domu Stanisława Rymarza. Wtargnąwszy do mieszkania, zmusili rewolwerami obudzonego Rymarza do wydania im broni posiadanej, a następnie ze skrzyni zrabowali 25 złotych, brzytwę, pugilares i kurtkę. Oddalając się po rabunku, grozili domownikom, że będą do nich strzelać, gdyby odważyli się wyjść za nimi z domu.

Morderstwo obok Sambora. W Bereźnicy Rustykalnej obok Sambora w domu tamtejszego gospodarza, Iwana Płoskacza, mieszkał niejaki Mikołaj Kowałyk, syn Wasyla i Rozalji, liczący 26 lat, wraz z swoją żoną. Onegdaj rano Płoskacz pokłócił się z żoną Kowałyka, z czego wynikła awantura, w czasie której Płoskacz chwycił siekierę i w swej złości począł rąbać sprzęty, należące do Kowałyków. Wtedy podrażniony Kowałyk porwał deskę i bił nią Płoskacza po głowie i całem ciele tak długo, dopóki nie uśmiercił go na miejscu. Płoskacz miał rozbitą głowę i połamane żebra, które poraniły mu płuca i spowodowały krwotok. Po dokonanem morderstwie Kowałyk wydalił się z domu, a dwie godziny później udał się sam do posterunku policyjnego i tam doniósł o swym czynie morderczym. Zabity Płoskacz liczył 57 lat. Kowałyka aresztowano i odstawiono do sądu w Samborze.

Coś niby zamach. Jakiś żartowniś, albo człowiek niespełna rozumu, urządził sobie coś w rodzaju zamachu na poselstwo sowieckie w Warszawie. Do komina budynku poselstwa wsadził rurę, a do niej dał pewną ilość prochu. Rurę tę połączył drutami z przewodem elektrycznym, aby w ten sposób spowodować wybuch. Że uczynił to jakiś żartowniś, albo człowiek niespełna rozumu, świadczy o tem fakt, że gdyby się nawet był proch w owej rurze zapalił, nie wyrządziłby żadnej szkody, ale narobił tylko nieco smrodu. Rzekomy więc zamach był prawdopodobnie dziełem kogoś, kto chciał tylko nastraszyć warszawskich bolszewików, albo też takiego nierozumnego człowieka, który rzeczywiście myślał, że w ten sposób wysadzi gmach poselstwa w powietrze. Inna rzecz, że komuniści rosyjscy narobili wiele hałasu i głoszą po świecie, że emigranci rosyjscy chcieli na swych rodakach bolszewickich wywrzeć zemstę i żądają, aby rząd polski spokojnych ludzi, obywateli rosyjskich, z Polski wydalił.

Ucieczka młodocianych przestępców. W ubiegłym tygodniu z zakładu poprawczego w Studzieńcu zbiegło 17 młodocianych przestępców. Jak wykazało dochodzenie, ucieczka odbyła się w okolicznościach sensacyjnych. Zbiegowie zawiązali najprawdopodobniej spisek i ułożyli szczegółowo plan ucieczki. Kiedy o 7 wieczorem cały zakład udał się na spoczynek nocny, spiskowcy przystawili do okratowanego okna ławkę i naciskając wspólnemi siłami wyważyli kratę, poczem spuścili się na dziedziniec. Nie zauważeni przez nikogo wydostali się za bramę i podjęli ucieczkę. Po wykryciu ucieczki dyrektor zakładu zmobilizował natychmiast służbę zakładu i zarządził pościg. Pracownicy zakładu dosiedli koni i popędzili w stronę puszczy Marjawickiej, gdzie, jak spodziewano się, mogli ukryć się zbiegowie. Początkowo pościg nie dał żadnych wyników. Dopiero w odległości 12 kilometrów od Studzieńca, w okolicach Mszczonowa, natrafiono na grupę zbiegów, którzy ukryli się w lesie. Uczestnicy pościgu zorganizowali obławę, która zakończyła się ujęciem 11 zbiegów. Schwytanych odstawiono z powrotem do zakładu w Studzieńcu. Zapytywani o powód ucieczki, zbiegowie oświadczyli, że warunki pobytu w „Rodzinie karnej" były dla nich nie do zniesienia.

Tragiczny wypadek w pociągu. W jednym z wagonów pociągu osobowego na linji Łódź-Kalisz jechało kilku artylerzystów szkoły podchorążych z kapralem Janem Wolnym, jako komendantem transportu. Żołnierze, chcąc skrócić sobie czas jazdy, śpiewali chórem przyczem Wolny, jako dyrygent, oparł się o drzwi otwieranego z boku wagonu. Nagle drzwi otworzyły się i Wolny runął na tor. Na wszczęty przez żołnierzy alarm zatrzymano pociąg i znaleziono Wolnego w kałuży krwi obok toru. Wolny, przewieziony do szpitala wojskowego w Łodzi, zmarł.

Poseł pod kluczem. W ubiegłym tygodniu przyjechał do Łodzi poseł Żarski, komunista, który udał się przed gmach państwowego urzędu pośrednictwa pracy i zaczął nakłaniać zebranych tam robotników do rozbrojenia policji i do demonstracji. Policja wezwała tłum do rozejścia się, a wówczas pan poseł wyjął rewolwer i z odległości 6 do 8 metrów począł strzelać do przodownika policji. Na szczęście pan poseł strzelać nie umie, więc też wszystkie strzały chybiły. Gdy brakło mu amunicji, pan poseł chciał wyjechać z Łodzi, w drodze jednak został aresztowany i odwieziony do sędziego śledczego. Mogą sobie powinszować ci, którzy na takiego posła przy wyborach głosowali.

Znów poseł dostał w skórę. Jako pocieszający objaw należy stwierdzić fakt, że nietylko lud polski, ale nawet ukraiński dość ma już tych podjudzań to przeciw państwu, to przeciw rządowi i coraz częściej napędza z pośród siebie takich posłów, którzy unikają uczciwej pracy, a starają się tylko jednych przeciw drugim podburzyć. Podobny wypadek zdarzył się ostatnio we wsi Zdołbieg na Wołyniu. Urządził tam wiec poseł

ukraiński Leszczyński. Na wiec zeszło się wielu chłopów ruskich, aby wysłuchać przemówienia pana posła. Póki pan poseł mówił do rzeczy, chłopi słuchali go spokojnie, ale gdy zaczął wymyślać na Polskę i na rząd, nie mogąc ścierpieć tego przemówienia, najpierw okrzykami nie pozwolili mu przemawiać, a potem z kołami z płotu w rękach rzucili się na pana posła i ciężko go pobili. Poseł ledwo wydostał się z otaczającego go wrogiego koła i uciekł, aby się schronić pod opiekę policji, którą przed chwilą również z błotem mieszał. Oczywiście trudno pochwalać takie samosądy nad posłami, ale dziwić się im nie można, gdyż spokojny nasz lud, tak polski, jak i ruski, ma już dość tego wzajemnego żarcia się. Nam trzeba pracy i jeszcze raz pracy, a nie walk partyjnych, które do zguby Ojczyznę naszą doprowadzić mogą.

Wykopaliska na Wołyniu. Do wsi Stadniki, koło Ostroga, dzięki staraniom właścicielki majątku, przybył delegat sekcji archeologicznej z Równego prof. Hofman, który dokonał interesujących odkryć. Wykopano całą partję naczyń glinianych, pochodzących z okresu 1800 lat przed Chrystusem, doskonale zachowane przęśliki gliniane do warsztatów tkackich z tego samego okresu, siekierkę krzemienną z epoki 3 tysiące lat przed Chrystusem. Trafiono na ślady ognisk i kości. Była tu więc albo osada przedhistoryczna, albo cmentarzysko. Prace archeologiczne na tym terenie zapowiadają nowe zdobycze.

Czarny Polak. Poznań ma obecnie dużą sensację. Oto w jednej z tamtejszych klinik urodził się mały murzynek. Dziecko jest zupełnie czarne. Matka jego jest Poznanianką, bawiła przez dłuższy czas we Francji i niedawno stamtąd powróciła. Będzie to, zdaje się, pierwszy czarny Polak.

Szalony fryzjer. Z Kowna donoszą: W lokalu fryzjerskim Makranicza zjawił się oficer miejscowych szaulisów celem ogolenia się. W czasie gdy fryzjer przystępował do zabiegu, oficer ów zauważył jakieś dziwne ruchy u niego. Zaniepojony tem oficer chciał opuścić zakład, lecz wówczas fryzjer rzucił się na niego z brzytwą, ale zamiast uderzyć w gardło zranił go tylko w twarz. Napadnięty oficer wydobył rewolwer i na miejscu zastrzelił szaleńca. Na miejscu wypadku jawiły się władze bezpieczeństwa, a gdy przeprowadzono rewizję w domu Makranicza, w pokoju, sąsiadującym z golarnią, dokonano strasznego odkrycia. Oto na podłodze leżało ośmiu mężczyzn z namydlonemi twarzami i krwawemi ranami na gardłach, pochodzącemi od cięć brzytwą. Jeden z tych mężczyzn, przyprowadzony do przytomności, opowiedział, że fryzjer po namydleniu twarzy jednym ruchem podciął mu gardło brzytwą, poczem zawlókł go do przyległego pokoju, gdzie znalazł się w towarzystwie czterech w ten sam sposób poranionych mężczyzn.

Córka p. Curie-Skłodowskiej — artystką filmową. Córka naszej znakomitej rodaczki, p. Marji Curie-Skłodowskiej, studjująca obecnie w paryskiem konserwatorjum muzycznem i poza zdolnościami muzycznemi wyróżniająca się urodą i doskonałemi warunkami głosowemi, postanowiła poświęcić się karjerze filmowej i w najbliższym czasie zamierza wyjechać do Hollywood.

Lew w pokoju sypialnym. Londyńskie gazety donoszą z Johannisburga w Afryce południowej o strasznem nocnem zdarzeniu, które spotkało w tych dniach pewnego farmera (rolnika) w Bhisamba. Około północy, kiedy farmer leżał pogrążony we śnie, przybliżył się lew do jego posiadłości i został przez śmiałe alzackie psy napadnięty. Po zawziętej walce musiały dzielne psy wkońcu się cofnąć, uciekły do domu i szukały schronienia pod łóżkiem ich pana. Przebudzony strasznym hałasem, ujrzał zdrętwiały ze strachu farmer przy swojem łóżku olbrzymiego lwa, który ze strasznym rykiem usiłował dosięgnąć oszalałe ze strachu zwierzęta. Podczas kiedy farmer leżał bez ruchu na łóżku, zabił lew jednego z psów i następnie pobiegł do schroniska bydła, gdzie zabił krowę i cielę i do połowy je pożarł. Dopiero w rannych godzinach przedsięwzięli nadbiegli sąsiedzi polowanie na drapieżnika, lecz im się go schwycić nie udało.

Dzieci, które nie widziały żywej krowy. W Anglji istnieje specjalne towarzystwo kolonij wakacyjnych, które w obiegłym roku urządziło 463 wycieczek nad morze i na wieś. Mimo że Anglja jest wyspą, wśród uczestników jednej z wycieczek znalazło się w jednej z partji, złożonej z samych dziewcząt, 17, które nie widziały morza, a 5 poraz pierwszy widziało żywą krowę.

Monety papieskie. Gazety włoskie donoszą, że państwo papieskie przystąpi do emisji monet już w początku drugiego półrocza bieżącego roku. Papież Pius XI dotychczas skrupulatnie, po zawarciu paktów Laterańskich z Włochami, akcentował wszystkie oznaki suwerenności Stolicy Apostolskiej, a do takich należy i emisja monet. Monety te, wykonane według rysunków artysty Mistruzzi'ego w mennicy państwowej włoskiej, będą nosiły na jednej stronie podobiznę Piusa XI, a z drugiej herb i klucze oraz rok emisji. System monetarny będzie dziesiętny, jak zresztą miało to już miejsce za pontyfikatu Piusa IX, który wprowadził w 20 roku panowania (1866) dziesiętny podział monetarny.

Zapałki przepowiedziały śmierć. W Berlinie zdarzył się niedawno wypadek, który świadczy, jak niemądre i nieraz tragicznie kończące się są wszelkie wróżby o śmierci. Pewien fryzjer berliński, niejaki Ernest Blockman był stałym bywalcem jednej z piwiarni przy placu Karola, gdzie wieczorami grywał w karty. Pewnego dnia gra wyjątkowo nie szła Blockmanowi ani żadnemu z jego stałych partnerów, natomiast ograł ich wszystkich pewien nieznajomy, który się przysiadł do ich stolika. Gdy nieznajomy odszedł od stolika, wśród pozostałych zapanował, jak zwykle po przegranej, smutny nastrój. Jeden z niefortunnych graczy zaproponował ciągnienie zapałek, aby wywróżyć, który z nich pierwszy umrze. Zapałkę z odłamanym łebkiem wyciągnął Blockman. „Zdaje mi się, że zapałki nie omyliły się. Czuję, że niewiele mi pozostało życia" — powiedział z determinacją podchmielony Blockman. Rano następnego dnia znaleziono go w mieszkaniu z przeciętemi żyłami na rękach, w drodze do szpitala zmarł. Żadnej istotnej przyczyny samobójstwa, poza zapałkową wróżbą, nikt z otoczenia nie mógł wskazać.

Pływająca scena. W Niemczech rozpoczęto roboty nad zbudowaniem okrętu mieszczącego w sobie teatr „pływającą filję" niemieckiego teatru narodowego w Weimarze. Okręt ten odbywać będzie podróże po całym świecie i szerzyć tak znajomość sztuki niemieckiej. Już w jesieni ma być oddany do użytku i wysłany w pierwszą podróż po miastach portowych Europy.

Podróż na „gapę". Na jednym z dworców kolejowych w Berlinie aresztowano 20-letniego obywatela polskiego Stanisława Łukinę, który ukrywszy się na podwoziu ekspresu paryskiego przyjechał do Berlina. Łukina zeznał, że przed trzema tygodniami w poszukiwaniu pracy wyjechał z Warszawy do Paryża, ukrywszy się na podwoziu wagonu ekspresu Warszawa-Paryż. Wówczas udało mu się przebyć całą drogę niepostrzeżenie. W Paryżu jednak nie znalazł zajęcia a nie ma-

jąc pieniędzy na opłacenie biletu, jeszcze raz zdecydował się spróbować szczęścia i wrócić do kraju tą samą drogą, którą wyjechał z Warszawy do Paryża.

Oszalał w dniu ślubu. Niezwykły wypadek wydarzył się niedawno w Brukseli. Oto w jednym z domów odbywało się wesele pary młodych ludzi, niejakiego Gaya, młodego człowieka, liczącego 29 lat i jego młodej małżonki. W czasie wesela pan młody hulał w sposób tak straszliwy i wypił tyle alkoholu, że dostał nagle ataku szału. Kiedy goście rozeszli się do domu i czuła małżonka oczekiwała w sypialni pieszczot swego męża, ów wpadł do niej jak huragan i począł niszczyć całe urządzenie domu. Rozbił wszystkie meble, potłukł wszystkie sprzęty domowe i naczynia. Przerażona małżonka chciała przeszkodzić mężowi w niszczeniu nowego ogniska domowego, ale oszalały Gay rzucił się na nią i począł ją dusić. Na krzyk duszonej panny młodej zbiegli się sąsiedzi, którzy uwolnili ją z rąk furjata. Równocześnie wezwano policję, która aresztowała go na razie i zamknęła w więzieniu. Noc poślubną spędził Gay w pace, a później przewieziony został do szpitala dla obłąkanych.

Królestwo ślepców. Podróżni, powracający ze wschodnich prowincyj tureckich, z któremi komunikacja wznowiona została od niedawna, opowiadają, że w zaniedbanym, piaszczystym, pełnym suchego pyłu okręgu Hisnimansouru, w pobliżu Małatii, znajduje się wioska, zwana Adimayan, licząca 7.000 mieszkańców, z których 6 791 jest zupełnie lub częściowo ślepych z powodu przebytej trachomy (jaglicy). Wieś ta, o którą za dawnego ustroju państwowego w Turcji nikt się nie troszczył, w ciągu szeregu stuleci, nie miała nigdy ani szkoły, ani szpitala, ani żadnej wogóle opieki lekarskiej. Jaglica (trachoma), szerzyła się tu zawsze nagminnie, a że nikt jej nie przeciwdziałał, przybrała rozmiary nigdzie na całym świecie nie spotykane i wreszcie oślepiła całą wieś. Można sobie wyobrazić, jak trudna jest w tych warunkach egzystencja nieszczęśliwych mieszkańców wsi, niezdolnych do zajmowania się żadnemi rękodziełami i z trudnością jedynie mogących poświęcać się pasterstwu i uprawie marnej roli. Pięć razy dziennie nieszczęśliwi ci zbierają się w meczecie miejscowym, strzegąc się wszelkiego utyskiwania na swój los i wymieniania w modłach swoich do Allaha rodzaju swojej choroby, bowiem wedle wierzeń muzułmańskich, narzekania wywołują srozszy jeszcze gniew losu. Dlatego też najnieszczęśliwszy nawet z pośród mahometan w modlitwach swoich dziękuje Allahowi za otrzymane od niego łaski w obawie, aby nie spotkały go jeszcze większe nieszczęścia.

Oryginalne rozporządzenie. Sjamski minister spraw wewnętrznych wydał rozporządzenie, na mocy którego dostęp do świętych słoni uzyskać będą mogły jedynie osoby, ubrane w sposób przepisowy, przyczem krajowców obowiązuje strój narodowy, natomiast turyści zagraniczni obowiązani są zjawiać się we frakach, panie zaś w strojach wieczorowych.

Widmo śmierci głodowej. Jak prawie corocznie, tak i obecnie wiosenny przednowek powoduje w północno zachodnich Chinach straszne klęski głodowe, dziesiątkujące ludność. Sekretarjat międzynarodowego komitetu pomocy głodnym komunikuje, iż w prowincji Szansi, gdzie dotychczas zmarło wskutek głodu okrągło dwa miljony ludzi, dalsze trzy miljony stoją w obliczu śmierci głodowej. Widoki na żniwa wiosenne są coprawda nienajgorsze, jednakże wskutek obsiania zaledwie jednej piątej obszaru, zbiory będą minimalne. Wskutek klęski głodowej większość kobiet i dziewcząt została sprzedana mieszkańcom żyźniejszych okolic. Jeden z misjonarzy w głębi kraju donosi, że wypadki ludożerstwa mnożą się coraz bardziej. Uboga ludność czyha tylko na swych ziomków, aż z głodu opadną z sił, poczem dobija ich, byle tylko ratować swe życie. Codzienne pożywienie głodujących stanowi tarta kora drzewna i liście.

Zemsta miljonera. Ośm lat temu zdarzył się w Chicago dość pospolity napad bandycki. Banda złożona z 9 zbrodniarzy, napadła na dom miljonera Arthura Cuttena i przywiązawszy jego żonę do krzesła, poddała ją torturom, aby zdobyć odpowiednie wiadomości. Cuttenowi zabrano sumę odpowiadającą 300 tysiącom złotych, jego samego bandyci zamknęli w piwnicy bez okna, ażeby się tam udusił. Cuttena zdołano jednakże uratować. Miljoner, wydobywszy się na wolność, poprzysiągł sobie, że choćby do końca życia musi ścigać bandytów, którzy go obrabowali i choćby miał wydać cały swój majątek na to, to musi pomścić zamach na swoje życie i barbarzyńskie potraktowanie żony. Utratę bowiem owej „drobnej“ sumki uważał za błahostkę. Zawzięty miljoner dotrzymał przysięgi. Najął całą armję międzynarodowych detektywów i ścigał bandytów po wszystkich krajach Ameryki i Europy, wydając na ten cel kwotę wielokrotnie większą, aniżeli zrabowana. Długi czas pościg był bezowocny, aż wreszcie przed paru dniami Cutten zawiadomił policję, gdzie się znajduje siedmiu z owych bandytów i ich przewódca, niejaki Szymon Rozenberg. Policja idąc za temi wskazówkami, ujęła całą prawie bandę. W obecnej chwili z uczestników napadu z przed 8 lat, pozostaje na wolności tylko jeden, mianowicie brat Rozenberga, Kasper. Cutten twierdzi jednak, że jego przysięga dopóty nie będzie wypełniona, dopóki także ten ostatni członek bandy nie znajdzie się w więzieniu.

Dziecko wyłysiało z przestrachu. O niezwykłym wypadku całkowitego wyłysienia dziecka opowiada znany lekarz amerykański, Dr Henry Friedenberg. Pacjent jego, 5-letni Henryk Mates, bawiąc się na podwórzu ukąszony został przez psa i tak się przestraszył, że nie mógł przez dłuższy czas przyjść do siebie. Na drugi dzień po tem zajściu chłopcu zaczęły wypadać włosy, tak, że tegoż dnia zupełnie wyłysiał. Przejął się tak bardzo utratą włosów, doznając wiele przykrości od swych rówieśników w ochronce, że zachodziła poważna obawa o jego życie. Powierzony jednak opiece Dr Friedenberga odzyskał po kilkumiesięcznej kuracji włosy, z których cieszy się niemniej chyba niż dobrze podtatusiały i rzetelnie wyłysiały jegomość.

10 miljonów dolarów dla uczczenia żony. Małżeństwa multimiljonerów amerykańskich nie należą nagół do wyjątkowo trwałych ani szczęśliwych. To też rzadkim pod tym względem wyjątkiem jest Maurice Falk z Pittsburga. Ofiarował on swemu rodzinnemu miastu 10 miljonów dolarów jako fundację imienia swej żony, Laury, zaznaczając w akcie fundacyjnym, że pragnie w ten sposób złożyć publiczny hołd wzorowej żonie i matce. Z fundacji tej udzielane mają być stypendja dla uczącej się młodzieży, oraz dla młodych małżeństw, którym ma ułatwiać zagospodarowanie się. Cała suma fundacyjna wraz z odsetkami ma być rozdana w przeciągu 35 lat.

Okrągłe karty do gry. Okrągłe karty do gry zaczynają się obecnie rozpowszechniać w Ameryce. Mają one tę wyższość nad dotychczasowemi prostokątami, że te ostatnie szybko się niszczyły wskutek zaginania rogów, karty zaś okrągłe są o wiele trwalsze, a ponieważ mają dookoła oznaczenia, więc łatwe są również do orjentowania się i bardzo wygodne w użyciu.

RZECZY CIEKAWE.

Chesterton o kobietach.

Znakomity pisarz angielski Chesterton, omawiając sprawę szczęścia w pożyciu małżeńskiem, powiedział: „Mężczyzna — to jedyne źródło, z którego do domu wpływa pieniądz. Kobieta stoi na straży tych otworów i szparek, któremi pieniądz z domu ucieka. Mężczyzna musi się starać, aby to źródło biło wciąż z jednakową siłą, czuwać, aby ono nie wyschło. Kobieta zaś musi czuwać, aby to „żywe źródło“ wpływało tylko do kasy domowej, a nie rozpływało się po drodze. Ponadto zapobiegliwa żona winna się starać, aby jak najbardziej zmniejszyć ilość szparek kasy domowej, przez które ciężko zarobiony grosz lubi uciekać.

Trudne to zadanie, ale sprostać mu musi kobieta — żona i matka — w imię interesów powierzonej sobie rodziny, jej spokoju i równej zabezpieczonej przed wstrząsami egzystencji“.

Wszystko to bez większego trudu da się osiągnąć, jeśli w małżeństwie panuje harmonijne współdziałanie i zrozumienie wzajemnej odpowiedzialności za właściwy i pomyślny bieg życia rodzinnego.

Rady dla chcących dożyć sędziwego wieku.

Pewien emerytowany sędzia amerykański, niejaki Joe Smithoars, który w drugi dzień świąt Wielkanocnych obchodził setną rocznicę swych urodzin, udzielił w wywiadzie dziennikarskim następujących rad dla pragnących dożyć sędziwego wieku: 1) Bądź zawsze wesoły, 2) Nie zapominaj o ćwiczeniach gimnastycznych, 3) Bądź umiarkowany w jedzeniu, piciu i paleniu, 4) Nie czyń bez zastanowienia wszystkiego, na co masz chęć, 5) Nie ubieraj się nigdy zbyt ciepło, 6) Zimno jest zdrowsze niż ciepło, myj się więc zawsze zimną wodą, 7) Nie pij wieczorem zbyt wiele czarnej kawy ani alkoholu, 8) Nie męcz się zbyt często, często natomiast odpoczywaj, 9) Nie jedz zbyt późno i zbyt wiele, 10 Pielęgnuj starannie swoje zęby, 11) Opanuj swe zmysły, 12) Spełniaj sumiennie te jedenaście rad, a dożyjesz stu lat.

Rehabilitacja konika polnego i ciężkie oskarżenie mrówki.

Znakomity entomolog włoski prof. Zimanno Bianini, na podstawie długotrwałych obserwacyj stwierdził, że znana bajka, przedstawiająca konika polnego jako próżniaka, który po beztroskiem życiu w lecie musiał zimą żebrać pożywienia u mrówki, która jest wzorem pracowitości i zapobiegliwości — mija się z prawdą.

Otóż przedewszystkiem zimą niema koników polnych, a nawet latem — ze względu na szczególny ustrój swego ryjka — konik polny nie może wogóle korzystać z pokarmu, używanego przez mrówki.

Nie jest on wcale beztroskim próżniakiem, jak go przedstawiła bajka, przeciwnie jest bardzo pracowity. Ryjkiem swym, przypominającym świderek, przedziurawia on korę drzew, otrzymując w ten sposób orzeźwiający napój nawet w najbardziej upalne dni letnie, gdy większość owadów napróżno obsiaduje kielichy kwiatów, z których wyparowała już rosa.

Pracowicie zdobywający pożywienie konik polny jest solą w oku wielu próżniaczych owadów, które niejednokrotnie dopuszczają się na nim pospolitego rabunku. Najbardziej natarczywe są właśnie, tak przez bajkopisarza wyidealizowane, mrówki. Napadają one masowo na orzeźwiającego się konika polnego, szczypią jego nóżki, szarpią skrzydełka, wdzierają się na grzbiet. Plon napastników nie bywa obfity: jedna, dwie kropelki soku, gdyż wnet zasklepiają otworek, a nie mają czem go na nowo przewiercić. Po kilku tygodniach życia wśród walki z napastnikami, konik polny, niezmożony śpiewak, umiera wyczerpany i wówczas to znowu na widowni zjawiają się mrówki, rozszarpując wysuszone w słońcu ciałko i unoszące jego szczątki do swych spichrzów.

„Biedny koniku polny — mówi uczony włoski — symbolu beztroskiego, pełnego radości życia, los twój jest conajmniej nie do pozazdroszczenia i doprawdy, zasługujesz na lepszą opinję, niż ta, którą urobiły o was wieki i bajki“.

Ale starożytni Grecy zazdrościli jednak konikom polnym, gdyż poeta starogrecki, Ksenarchos, woła w jednym ze swych utworów: „Szczęśliwe są koniki polne, bo żony ich są nieme“

Ile kosztowała wojna światowa i co możnaby zrobić za te pieniądze.

Potworną sumę 400 miljardów trzebaby było liczyć 4.000 lat, pracując dziennie 10 godzin i licząc po dolarze na sekundę. Waży ona 800 miljonów kilo, na jej przewiezienie trzebaby było 80.000 wagonów, czyli 1.600 pociągów, po 50 wagonów. Co za te pieniądze możnaby kupić? Możnaby dać wszystkim pewność jutra i spokóju dostateczne dziś. Możnaby wszystkim rodzinom Niemiec, Rosji, Polski, Francji, Austrji, Włoch, Belgji Anglji i Stanów Zjednoczonych, jak obliczył Berger, dać na Gwiazdkę dom, za 2 i pół tysiąca dolarów i po półtora tysiąca dolarów na czarną godzinę. We wszystkich tych krajach, w każdem mieście i miasteczku, możnaby wydać po 5 miljonów na szkoły, ochronki, zwalczanie gruźlicy, ciemności, pijaństwa, nędzy wyjątkowej i normalnej.

Oprócz tego za 10 miljonów dolarów, każde miasteczko, cuchnące i chorobotwórcze, możnaby zmienić w ogród różany, a w każdej schludnej mieścinie Zachodu, możnaby wybudować kryształowe pałace nauki i szpitali, wybudować drogi i koleje, uszlachetnić handel i ożywić przemysł.

Pozatem jeszcze pozostanie taka suma, że możnaby za nią utrzymać 350 tys. ludzi, pracujących dla kultury i oświaty, wyposażonych po 1.000 dolarów rocznie. Za resztę możnaby kupić na dodatek całą Francję.

Obyczaje u dzikusów.

Mówi stare przysłowie: „Co kraj — to obyczaj“. I w istocie, czytając biografje narodów, przekonywamy się, że do dnia dzisiejszego cechują ich specjalne obyczaje, uprzywilejowane i zastosowane bądź do życia codziennego, bądź do religijnych obrządków. Najwięcej takich niespodzianek i dziwactwa możemy zaczerpnąć z życia dzikich plemion. Między innemi u dzikusów rozpowszechniony jest też zwyczaj oszpecania i kaleczenia własnego ciała przez spłaszczenie czaszki, obcinania palców, przebijania nozdrzy, ust i uszu. Robią to w celu rzeko-

mo specjalnego upiększenia, podobnie jak tatuowanie, farbowanie ciała lub układanie włosów w piętrowe fryzury. U rasy murzyńskiej i malajskiej za wielką ozdobę praktykowanem jest wybijanie zębów, piłowanie ich lub też farbowanie. Przednie zęby górnej i dolnej szczęki bezwzględnie muszą być krótsze niż inne, należy je koniecznie upiłować, niektórzy końce zębów zaostrzają albo wycinają w nich trójkąty. Już przed ożenieniem każdy młodzieniec nie uniknie tej operacji. Na wyspach Borneo i Sumatra przeciągają przez zęby, umalowane na czarny kolor, złoty drut, zabezpieczając je w ten sposób od psucia. U wszystkich ludów i szczepów murzyńskich panuje zwyczaj wyrywania lub też piłowania przednich zębów. Niektóre narody umyślnie czernią emalje zębów, aby je zabezpieczyć od próchnienia. Słowem, kiedy cywilizowane narody dla dobra organizmu wprawiają zęby sztuczne, dzikie plemiona zęby wyrywają, piłują lub malują na czarny kolor.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Jan Podzorski** w W.: Wiersz p. t.: „Co Marka Łyktusa uratowało od piekła?", napisany dowcipnie, ale nie był on początkowo przeznaczony dla „Roli", a poznać to po dwóch rzeczach. Po pierwsze „Roli" nigdy księża nie wyklinali z ambon, ale owszem nietylko samo Duchowieństwo chętnie ją czyta, ale nawet do jej czytania zachęca, bo wie, że „Rola" jest szermierką zgody i miłości wśród braci Polaków, a przeciwniczką wzajemnej zawiści. Powtóre: w wierszu, gdzieindziej poprawnie napisanym, tam, gdzie jest wzmianka o „Roli" wiersz ten chroma i wyraźnie znać w nim, że tam poprzednio była mowa o jakiejś innej gazetce. — **Z. F.** Z nadesłanych artykulików skorzystamy, ale szarady zdaje się przepadną, jako napisane na odwrotnej stronie innego rękopisu. — **Franciszek Sawa** w K.: Nadesłane wierszyki są miłe i napisane z talentem, rażą jednak w nich takie rymy, jak: „deseń-przestrzeń" lub powtórzony czasownik „mają", przeto do druku się jeszcze nie nadają. — **Czesław Waśkowski** w U.: Z nadesłanego artykuliku skorzystamy. — **Jan Pelczar** w W. S.: „Wiarę" otrzymaliśmy i w najbliższej przyszłości zamieścimy. — **Jan Stopka** w L: Jak na wszystkich polach Duchowieństwo katolickie pracuje wydatnie i z korzyścią dla społeczeństwa, tak i na polu pasiecznictwa wielu z nich położyło wielkie zasługi. Do najzasłużeńszych należy bezsprzecznie ksiądz Dzierżon, sławny pszczelarz na Śląsku 1860 roku, który przez zbudowanie ula swojego pomysłu, rozbieranego, wprowadził hodowlę pszczół na nowe tory. Jak wiadomo, dawniej hodowano pszczoły w barciach nierozbieranych, w których racjonalnie gospodarzyć nie było można. Ks. Dzierżon zbudował ul o ruchomych plastrach, wskutek czego pasiecznik mógł zawsze wiedzieć dokładnie, co się w całym ulu dzieje. Uli ks. Dzierżona już dzisiaj nie używamy, gdyż lepsze od nich są tak zwane ule słowiańskie, ule Lewickiego, Czynki, ule amerykańskie i inne. Ale wszystkim tym ulom dał początek ks. Dzierżon, gdyż są one tylko udoskonaleniem uli przez niego wynalezionych Które z tych uli są najlepsze? Otóż zawodowi pasiecznicy zachwalają najbardziej ule amerykańskie, mnie jednak najwięcej podoba się ul słowiański. — **Jan Szwaja** w W. N.: W kwietniu 1922 r. dolar kosztował 3.650 marek, zatem na dług 20.000 marek wówczas zaciągnięty wypadłoby około 54 zł. Wzajemnie pozdrawiamy. — **Franciszek Macioł** w S. B.: Nadszedł do nas list od p. Sebastjana P., który prawdopodobnie miał być skierowany do Pana — pomylono koperty.

Numera zaległe od Nowego Roku posiadamy jeszcze w zapasie.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Alfons Czader z S. W.).

■ ☆ ☆ ■ ☆ Kaktus.
■ ☆ ☆ ■ ☆ Duchowny.
■ ☆ ☆ ■ ☆ Wysiłki.
■ ☆ ☆ ■ ☆ Poczucie żalu do kogoś.
■ ☆ ☆ ■ ☆ Służy do jeżdżenia.
■ ☆ ☆ ■ ☆ Rodzaj gleby.
■ ☆ ☆ ■ ☆ Ptak.
■ ☆ ☆ ■ ☆ Odznaka.
■ ☆ ☆ ■ ☆ Miasto nad Niemnem.
■ ☆ ☆ ■ ☆ Miasto we Włoszech.
■ ☆ ☆ ■ ☆ Gospodarz.
■ ☆ ☆ ■ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ■ ☆ Drogi kamień.

Litery pierwszego i czwartego rzędu czytane z góry na dół dadzą imię, nazwisko i dwa dzieła malarza polskiego.

2. Szarady.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

I.

Wstecz pierwsza, miarą zawsze pozostanie,
Pierwsza i trzecia znowu drogi panie
Jest sztucznym ogniem. A trzecia i pierwsza
Nazwa władcy By dokończyć wiersza
Powiem już całość. Jest to u zwierząt
[kończyny ochrona,
Ale nie u wszystkich, lecz tylko niektó-
[rych z ich grona

II.

Wstecz trzecia, pół drugiej wstecz,
To bardzo w domu potrzebna rzecz.
Gdy pierwsza druga młodzież i wojsko
Natenczas w kraju spokojnie, swojsko.
Wstecz pierwszej znowu w wodzie żyć dane,
Pół pierwszą drugą miasto nazwane.
Całość część roku oznaczać musi,
Do zabaw, tańców chęć ludzi kusi.

3. Układanki.

(Ułożył Jan Smaza z Z.).

Miasto w Europie w ojczystym języku + spółgłoska = imię męskie.

Spółgłoska + Polska = imię żeńskie.

Służy do strzelania + karta do gry + spółgłoska = imię męskie.

Samogłoska + rzeka + samogłoska = imię żeńskie.

Kwiat + miara powierzchni + samogłoska = imię męskie.

Kamień drogi + samogłoska = imię żeńskie.

Poeta polski + samogłoska + ryba = imię męskie

4. Rekonstrukcja.

(Ułożył Tadeusz Kwerka z W).

j			i
	k	a	
	a	r	
i			a

W powyższej figurze wypełnić puste kratki literami, aby dały wyrazy o jednakowem znaczeniu, tak w pionowym, jak poziomym kierunku.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa 16 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 17 „Roli": 1. Logogryf: Małe Kończyce. 2. Łamigłówka: Bolesław Wstydliwy. 3. Szarady: I. Czardasz. II. Baranowicze. 4. Układanka konikowa: Prawdziwe bogactwo to ziemia.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Jerzy Barutowicz z K., Jan Gara z W., Jan Romańczuk z K., Emil Franciszek Herman z B., Antoni Krótki z M.

Nagrody wylosowali pp.: Antoni Krótki z M. G. i Jerzy Barutowicz z K.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Giełda płodów rolniczych
z dnia 29 kwietnia b. r.

Pszenica .	41·00—41·50	Słoma długa	6·00—6·50
Żyto .	19·50—20·50	Ziemniaki stoł.	5·50—6·00
Owies . .	18·00—18·50	Koniczyna na-sienn. czer.	200·00—230·00
Jęczmień .	20·00—20·50		
Fasola biała	60·00—65·00	Mąka żytnia	38·00—38·50
Groch zwyk.	32·00—33·00	Mąka pszen.	69·00—70·00
Siano słodk.	9·00— 9·50	Otręby pszen.	15·00—16·00
Łubin żółty	00·00—00·00	Otręby żytnie	15·00—00·00
Koniczpastew.	13·00—14·00	Mąka czerw.	18·50—19·50

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:
w dniu 12 kwietnia b. r
Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·08 do 1·52 zł.	Jałownik	od 1·10 do 1·55 zł.
Woły . .	od 1·25 do 1·54 zł.	Cielęta .	od 1·20 do 2·08 zł.
Krowy .	od 0·90 do 1·45 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·48 do 2·61 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·80 do 3.35